

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

# POZNAŃ OSTOJĄ MYŚLI POLSKIEJ



**POZNAŃ**  
NAKŁADEM AUTORA  
CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY“  
**1917.**



**POZNAŃ OSTOJA  
MYŚLI POLSKIEJ**



**STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.**

**POZNAŃ OSTOJĄ  
MYŚLI POLSKIEJ**

**POZNAŃ**  
NAKŁADEM AUTORA  
CZCIONKAMI DRUKARNI „PRACY”  
**1917.**

Wojewódzka 8-4  
Biblioteka Przyb  
Publiczna Poz  
w 875  
Poznaniu

875

Dot. Bull. Ry. IV. 6  
nr. 14. 5

## GARŚĆ WYJAŚNIEN.

„**K**to ma duszę niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych!“ woła Słowacki w „Anhellim“. Celem dążeń panowanie w Duchu, drogą do celu wiodącą, to ofiara — przez ofiarę zbliża się czas tego żywota silnych.

„Z niebywałą ofiarnością pospieszyła Wielkopolska na pomoc zniszczonemu klęską wojenną Królestwu, stała się przytulkiem dla bezdomnych, śpichrzem dla głodnych, i w dalszym ciągu łagodzi nawet ponad miarę możności głód materyalny swej braci — ale to nie wszystko.

W nowej sile odżyła w Wielkopolsce w ten „Pańskiego gniewu straszny dzień“, w którym dusza Polski najgłębiej cierpi, święta dostojna tradycja Raczyńskich, Działyńskich, Libelta, Marcinkowskiego, Woykowskiego, Węzyka, Dembowskiego, całego wspaniałego zastępu dusz, który właśnie przed trzyćwierci wieku temu, utworzył gościnną magnacką ostoję dla rozbiegającej się na wsze strony umysłowości ducha narodu. W nowym blasku roziskrzyła się tradycja onego chlubnego okresu w życiu Wielkopolski, kiedy Poznań zogniskował w sobie wszystkie po roku 1831 rozproszone siły, i stał się ośrodkiem całej jej współczesnej twórczości. Odżyła świetna tradycja, a z nią zbudziło się wśród pewnego odłamu naszego obywatelstwa, które zdołało sobie uświadomić, że dla Polski literatura i sztuka ma wogóle całkiem inne znaczenie, aniżeli w życiu jakiegokolwiek narodu, iż w sztuce,

a przedewszystkiem w literaturze zdołała się przechować w promiennej mocy i sile dusza narodu, gorące pragnienie, by Poznań podjął się tej dostojnej misji i w tym straszliwym odmęcie „walącego się domu“ i „ginącego świata“ podtrzymał zagrożony byt umysłowości polskiej i stał się dla życia duszy narodu prawdziwą „Ostoją“ — Araratem, na którym arka myśli polskiej w spokoju osiąść może“.

Nie pomnę, by kiedykolwiek głębiej rozradowało się moje serce, jak w chwili, gdym wyczytał te wstępne słowa „Ostoi“, spółki wydawniczej w Poznaniu, „mającej na celu teraz właśnie, kiedy ruch wydawniczy w Królestwie i Galicyi prawie całkiem ustał, dać pisarzom polskim, których twórczość w obecnych warunkach zatamowaną została, możność wydawania ich utworów, przyjąć im tem samem z doraźną pomocą materyalną a społeczeństwu polskiemu dostarczyć karmi duchowej, której teraz więcej, niż kiedykolwiek potrzebuje“.

Zostałem wychowany w najświetniejszych tradycjach życia umysłowego w Poznańskim, życia, tak bogatego i dostojnego, że się dziś ono wydaje być jakąś przepiękną legendą, onego życia, jakim żył Poznań między rokiem 1830 a 1850-tym.

Ś. p. ojciec mój, aczkolwiek był tylko zwykłym nauczycielem ludowym — a po on czas kościół i szkoła tworzyły Jednię i miały całkiem inne znaczenie dla wychowania narodowego, aniżeli dziś, a być księdzem lub nauczycielem znaczyło spełniać przedewszystkiem posłannicze obowiązki narodowe — zajmował się gorąco ruchem umysłowym w Księstwie: w skromnej, ale zasobnej jego biblioteczce było można znaleźć prawie wszystko, co się w Wielkopolsce aż po rok 1870 pojawiło.

Ta mała księżnica więcej mi dała, aniżeli najbogatsze biblioteki Europy.

Na rocznikach „Przyjaciela Ludu“, wydawanego przez generała Morawskiego w Lesznie, uczyłem się geografii i historii polskiej, a nieudolne drzeworyty, wyobrażające



najwybitniejsze postacie onego czasu, tak mi się w mózg wraziły, że do dziś dnia je widzę przed oczyma. Chłopakiem jeszcze będąc, słuchałem wspomnień i rozpraw o Ewaryście Estkowskim, o braciach Poplińskich, Wojciechu Cybulskim, Władysławie Bentkowskim, którego pamiętnik z 1863 roku przypomina świetną naszą literaturę wojskową z 1831 r. — nad starym klawikordem matki, spuścizną po dziadku Janie Grąbczewskim, oficerze wojsk polskich z r. 1831, wisiał portret Emilii Sczanieckiej, Marcinkowskiego, braci Poplińskich — a w miarę jak rosłem w lata i oczy moje przecierać się jeły, było dla mnie największą rozkoszą w wakacyjnych gimnazyalnych wczasach wgłębiać się w pisma Libelta, w „Ojczy Nasz“ Cieszkowskiego, którego prolegomenon: „Na drogach duszy“ niemal całe na pamięć umiałem.

Nie mówię już o Ryszardzie Berwińskim, o którym się tyle w domu rodzicielskim nasluchałem, że, zanim jego utwór poznałem, był mi już blizkim i zażyłym — a zanim rozpocząłem się wczytywać w „Tygodnik literacki“ i byłem w stanie doniosłość jego dla bytu umysłowego całej Polski ocenić, słyszałem często o Woykowskim, Dahlmanie, Węzku, Dembowskim...

Poznań sam wydał mi się wtedy coś w rodzaju tajemniczego, świętego miasta; jakiegoś Lassah, lub też niepomierne bogatej Mekki, do której wszystkie dusze polskie pielgrzymowały i pielgrzymować winne były.

Tą od małego dziecka wchłoniętą w siebie tradycją, tem kształtowaniem się mej duszy nie w obrębach przepiękną patyną dawno zamarłej świetności pyszniącego się Wawelu, ale twardego, nieugięte hardego i niczem niezmożonego grodu Przemysława tuż u stóp Kruszwickiej Myszej Wieży — duszy kołysanej w sen tajemniczym rozhoworem fal Gopła, które niemal pod nasz dom podpływało, budzącej się nieraz jego ciężką rozterką, gniewem i burzą, wytworzyło się we mnie już od najmłodszych lat fanatyczne prawie przeświadczenie, że ta „kolebka“

Polski — ten błogosławiony trójkąt, którego podstawę stanowi Inowrocław, Gniewkowo, a wierzchołek Kruszwica, przetrzynięty Gopłem — morzem polskim — to jest najistotniejsza Polska — Polska „Lilli Wenedy“ i „Króla Ducha“, a serca tej Polski szukałem już po on czas, tak jak i dziś — w mistycznym dla mnie wówczas Poznaniu, a, że ono niem przez dłuższy czas było — w tej wierze wyrosłem — a że niem być przestało, sprawiało mi to ból serdeczny.

Tem większą moja radość, gdym posłyszał w odezwie „Ostoi“ odpowiedź na wielki zew:

„Kto ma duszę niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych!“

Przecież jeszcze do niedawna uchodziło Poznańskie za kulturalnie najwięcej zacofaną dzielnicę Polski, jej Beocyę, odgrywającą w życiu umysłowym Polski rolę podrzędnej, w rachubę nie wchodzącej „*quantité négligeable*“.

Toć to nie nowina — Wielkopolanie aż nadto dobrze o tem wiedzą, i, wstyd pokrywając wzgardliwością, wrzucali ramionami nad „dziadostwem“ Galicyi, impertynencką „błagą“ Królestwa i milczeniem zbywali drwinki, docinki, a nawet bolesne rozszarpywanie szat nad rozpacznym upadkiem kultury umysłowej w Księstwie.

Może i słusznie w danym wypadku.

Narazie mieli widocznie ważniejszą dla nich sprawę do załatwienia, by móżdż się tak dalece troszczyć o literaturę i sztukę polską — musieli weźreć się zębami w ojczystą ziemię, by mu jej wróg zawistny, a gorszy jeszcze od niego „sprzedawczyk“, nie wydarł i nie zaprzepaścił i musieli się bronić do upadłego, by choć jako tako był swój materyalny, więcej niż ciężko zagrożony, zabezpieczyć, a w tych krwawych zapasach o chleb i byt — uprawa duchowego głodu stała się nic nie znacząca, i zesłała na ostatni plan, aż wreszcie całkiem o niej mówić przestano.

Gdy zdobędziemy materialne podstawy, pocieszano się, wtedy będziemy mogli pomyśleć o tem, by mózdz przystąpić do pracy około bogacenia się umysłowego i pomnożenia naszego bytu duchowego.

I z jaknajgłębszym szacunkiem przychodzi się korzyć przed społeczeństwem, które „przez zakładanie banków, spółek, podniesienie rolnictwa i kupiectwa byt ten tak wzmocniło, że wszystkie ciosy wymierzone przeciw społeczeństwu Wielkopolski złamać go nie mogły.“ Sam z podziwem patrzyłem na ten ogromny materialny dobytek, jaki się w Poznańskim w ubiegłym ćwierćwieczu dokonał, ale w miarę bogacenia się, zdawał się poziom kulturalny w Poznańskim coraz więcej obniżać.

Niestety nie „zdawał“ się obniżać, ale obniżał się istotnie z przerażającą szybkością z roku na rok.

Wątpię, czy znajdzie się wśród najwięcej zapalonych chwalców tego wszystkiego, co się obecnie pod względem kulturalnym w Poznańskim dokonało, choć jeden człowiek, któryby nie pokiwał rezygnacyjnie głową i nie powiedział: Wprawdzie się coś dzieje, no tak! ale czem to jest w porównaniu z Krakowem, Warszawą, Lwowem? Niczem — niczem!

Ostatni rozmach wzięło Poznańskie pod rok 1895, kiedy to ofiarnością, jeżeli się nie mylę, p. Panieńskiego powstał „Przegląd Poznański“ pod redakcją Władysława Rabskiego, szkolnego mojego kolegi ongiś, a z biegiem czasu zapalczywego wroga. Jedna z najpiękniejszych kart w życiu tego niezmiernie zdolnego i na onczas aż do bezwzględności śmiałego publicysty, jednego z tych, którego nie „stosunki polityczne“, jak mniema prof. Karwowski, wyгнаły z Poznania, ale prosty obskurantyzm, beznadziejny opór starczego marazmu, wszechwładza i wsteczność kołtuństwa parafialnego — a równocześnie najsmutniejsza karta życia umysłowego w Poznańskim: Fatalne memento:

„Lasciate ogni speranza!“

Po trzech latach istnienia „Przegląd Poznański“, którego redaktor, człowiek o rozległej wiedzy literackiej, o ciętym piórze, wzorowanym na Świętochowskim, poza-tem temperament stworzony do walki, zawsze miał otwarte okno na Europę, sromotnie upadł, bo i nawet ten niezbyt radykalny, ani wywrotowy, ale bądź co bądź doskonale redagowany organ postępu i kultury okazał się „niepotrzebnym zbytkiem“ dla społeczeństwa Wielkopolski, dla „zdrowej tężyzny“, szkodliwym kawiorem, niebezpiecznym rozsadnikiem tej jedynej zasady kultury Poznańskiego: „Enrichissez vous“. Bogaćcie się!

I odtąd Poznańskie skazało się dobrowolnie pod względem kulturalnym na rolę jakiejś biednej oazy wśród obcego narodu, czemś podobnem, czem jest polska Parana w Brazylii, lub Gelsenkirchen w Westfalii. Wyzute doszczętnie z przebogatej tradycyi, wytężone li tylko w kierunku najordynarniejszego utilitaryzmu i amerykańskiego business'u, zadawała się raz poraz naiwnymi manifestacykami narodowemi, odśpiewywaniem kantyczek, urządzeniem ku czci, czy to Kraszewskiego, czy też ostatnio Sienkiewicza naiwnych prowincjonalnych wieczorków wokalnie-deklamacyjno-muzykalnych, jałowemi rozprawami nad usterkami językowemi, nie bacząc na to, że w tej zarobkowo-bankowej tężyznie charakter narodowy coraz więcej się paczył i doszczętnie się wszystkich cech istotnej polskości wyzbywał, a pod wieloma względami ulegał niewolniczo wpływom, duszy polskiej najwięcej obcym i wrogim.

A wszystko to się działo z zubożeniem ku górze wzniesionymi oczyma: „my już bez skargi nie znamy śpiewu!“ i t. d. Furda!

„Ucisk“ był poniekąd na rękę tym ludziom, którzy byli szczęśliwi, że mogąc się uniewinnić „uciskiem“, nie potrzebowali kupić żadnej innej książki, prócz kalendarza, mogli oszczędzić wydatki na potrzeby kulturalne — „ucisk“ stał się wymówką, wytłomaczeniem i rozgrzeszeniem z wszelkich grzechów, ospalstwa, nieuctwa, najwięcej zacofanego

koltuństwa a tłumny exodus najtęższych sił intelektualnych z Wielkopolski tłomaczyć się usiłuje „względami politycznymi“ — co jest obłudnem minięciem się z prawdą, mówiąc delikatnie, bo „ucisk“ i „względy polityczne“ zezwoliły na powstanie ostatniego odruchu umysłowości w Poznańskim „Przeglądu Poznańskiego“, to jedno zasię wiem, że go ani „ucisk“ ani „względy polityczne“ nie zniszczyły, jeno całkiem coś innego.

Czyż nie stać społeczeństwo Wielkopolski na tyle mizernej odwagi, by uderzyć się w piersi i jęknąć: „Samiśmy naszym sobkostwem, zadomowieniem się w bezmyślnej apatii duchowej, lekceważeniem, a nawet pogardą umysłowej kultury zawinili, żeśmy pozwolili upaść duchowi narodu w Wielkopolsce na ten nizki stopień, na jakim duch wychodźstwa polskiego w Paranie stoi?“

„Difficile est satiram non scribere“, ale trudniej jeszcze powstrzymać się od ciężkiego zarzutu w stronę bogatego społeczeństwa wielkopolskiego, które, Bóg wie co, mogłoby dla kultury polskiej zdziałać, daleko więcej, aniżeli biedna Galicya, a bezustannie uniewinnia się śmiesznym „cantem“ „ucisku i względów politycznych“, cantem, który chyba niedoroślą dzieciom oczy zamydląć może.

Jedna jest tylko rzecz pewna:

Jeżeli Poznańskie nie zabierze się gorąco i z całą mocą do stworzenia dla Wielkopolski z Poznania takiej kulturalnej placówki, jaką jest dla innych dzielnic Polski Warszawa lub Kraków, to Poznańskie stanie się w jakie pół wieku prostą Paraną — będzie miało banki, wysoce rozwinięte rolnictwo i przemysł, ale przestanie istnieć jako integralna część narodu.

I co do tego nie ludzą się już dziś ludzie, **którym** sumienie narodowe sypiać nie pozwala i chroni ich od bezecnego bicia się w piersi: Patrzcie! jaka w nas tężyzna!

Czynem narodowym — powoływanie się w **sejmie** pruskim na traktaty i kongresy?

Śmieszne!

Stokroć razy większym czynem był czyn Żupańskiego, któremu Feliks Wrotnowski w wstępie do swego tłomaczenia „Literatury słowiańskiej“ Mickiewicza najgorętszą podziękę składa za jej wydanie, a bez ofiarności Żupańskiego możeby to olbrzymie dzieło, ten „śpiew nad śpiewami“, jak je słusznie Wrotnowski nazywa, nie istniało, albo co najmniej w ciężkiem okaleczeniu całą wartość straciło.

„Śpiewać swojej ziemi i swojemu narodowi, jest to nic innego tylko objawiać myśl Bożą, jaka na nich spoczywa“ — mówi Mickiewicz — ale cóżby się stało z tym „śpiewem, z tą myślą Bożą“, gdyby naród o niczem innym nie myślał, jak tylko o bogaceniu się materyalnym — a dla „śpiewu“ i dla wszelkiej myśli miał tylko lekceważący uśmieszek politowania, jakim się „romantyczne“ wybryki „niepraktycznego“ fantasty-młodziana traktuje?

Z skruchą przyznaję się do fatalnego błędu, jaki popeliłem w moim osławionym manifeście „Confiteor“, gdym pisał przed dwudziestu laty: „Sztuka dla ludu?! Dajcie mu chleba, a sam sobie drogę do Sztuki odnajdzie!“

Otóż nieprawda!

„Chleb,“ zdaje się przeciwnie zagradzać drogę do Sztuki, a Poznańskie, które pod względem materyalnym, niesłychanie sprężystej organizacyi i zdumiewającej gospodarki ekonomicznej może być wzorem dla całej Polski, śnać zapomniało o tem, że ma teraz do spełnienia najszczytniejszą misję, jaka kiedykolwiek ujarzmiomemu społeczeństwu pod obcym zaborem w udziale przypaść może: opanować mocą swego bogactwa materyalnego duchowe życie Polski w czasie jego silnie wypadkami wojny zagrożonego bytu, a jeżeli je nie stać na to, by stworzyć z Poznania duchowej stolicy całej Polski, to przynajmniej warowną Ostoję dla Myśli Polskiej.

A był już raz Poznań i monarszą Ostoją całej umysłowości polskiej, był i duchową stolicą Polski i jej sercem, w tej tradycyi zostałem wychowany i mimo

wszystko nie wygasła we mnie wiara, że się niem znowu stać może, więc gdy nadszedł czas, w którym „dobrze, że kamienie przemówią, gdy ludzie milczą“ — a z biegiem czasów dostałem się niejako poza nawias najbliższego mi społeczeństwa i stałem się dla niego „Kamieniem obrazy“ — odważyłem się dać Poznaniowi w skromnym odczycie w jak najgrubszych zarysach obraz bogatej jego przeszłości, przypominając czyny wielkich ojców, ożywić wspa- niałą tradycję ubiegłych czasów i wysnuć z tego wszystkiego ten święty istic nakaz, co Poznań uczynić powinien, by z godnością i dostojeństwem módz objąć wielki spadek, chociażby miał się on stać przykrym ciężarem, wymagającym wielkiej ofiarności.

Jeżeli ten odczyt mój, który nie rości sobie najmniejszych pretensyi do jakiegokolwiek historyczno-literackiej ścisłości i bynajmniej nie obejmuje całej pełni duchowego życia, jakiem Wielkopolska po 1831 roku żyła, teraz po upływie kilku miesięcy drukiem ogłaszam, to czynię dla tego, że ma mi posłużyć jako podstawa do mych dalszych wywodów w sprawie, w jakiej widzę powolne urzeczywistnienie moich najpiękniejszych snów o misyi Poznania:

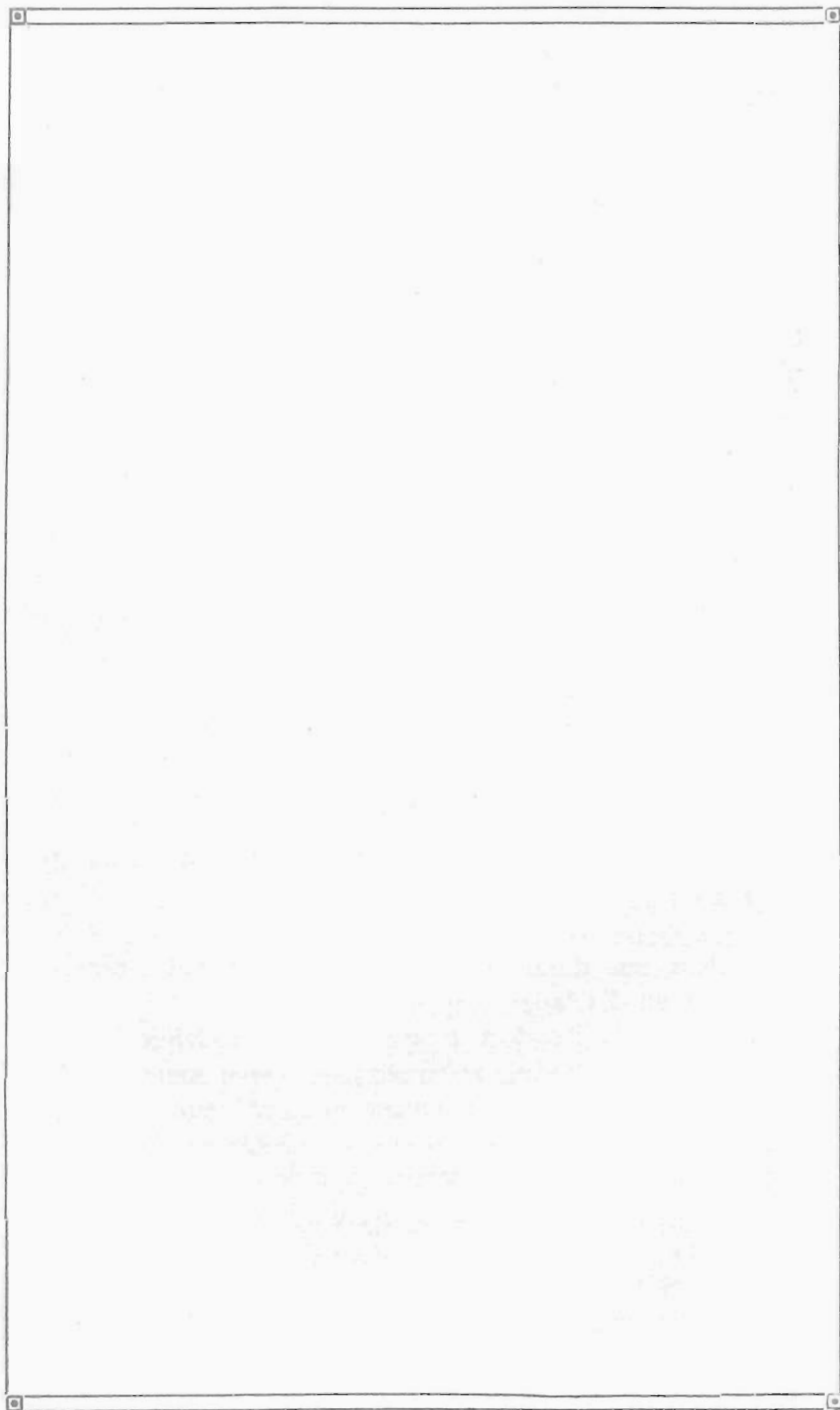
w powstaniu „Ostoi“ wskrzeszeniu Wielkopolski z ciężkiego półwiekowego snu do nowego życia —

czynię dla tego, bo słyszę wielki zew:

„Kto ma duszę niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych“ —

i czynię to dla tego, że mam nadzieję iż głos mój znajdzie oddźwięk w najbliższem sercu memu społeczeństwie i nie danem mi będzie przeżyć tego ciężkiego rozczarowania, o którym Słowacki w swoim Raptularzu z bolesną rezygnacją wspomina:

„Panie, jeżeli zamkniesz słuch narodu,  
Daremnie człowiek swe głosy wytęża:  
Choćby miał siłę i odwagę męża,  
Z nieumiłowania umrze — tak, jak z głodu“...





**ODCZYT - POBUDKA:  
POZNAŃ ONGI SERCEM  
POLSKI I JEJ DUCHOWĄ  
STOLICĄ.**

**Z** łatwo zrozumiałych względów nie mogę się szerzej rozwozić nad tematem, o którym mówić będę, ani też wszystko powiedzieć, cobym powiedzieć pragnął.

Ale i tak jestem szczęśliw, że w tych szczupłych ramach danem mi jest poruszyć kwestyę nie tylko dla Wielkopolski, ale dla Polski całej w obecnej chwili najżywotniejszą, a z krótkiego rzutu na wspaniałą przeszłość Poznania w dziedzinie ducha, wskazać drogę szczytnej misyi, jaką Poznań znowu po półwiekowym wypoczynku ma spełnić.

Dusza całej Polski obecnie zwrócona w stronę Wielkopolski, zwrócona trwożnie i lękliwie, bo o byt jej chodzi, więc oczekuje z tej, od grozy wojny oszczędzonej części Polski, pomocy, wyczekuje Czynu, a jakim Czyn ten ma być i jak go spełnić przynależy, niech nas niedaleka przeszłość pouczy.

Nigdy może przedtem, ani potem nie objawił się duch narodowy polski w takiej potędze i mocy, jak po roku 1831, męczeńskim roku zniszczonych nadziei, daremnych wysiłków bohaterskich, grozy i męki, zdawałoby się już ostatecznego konania.

Otworzyła się nagle na oścież ona „głębia“ narodowa, do której Mickiewicz zstępował, „plując na twardą,

suchą i plugawą skorupę z wierzchu“, wybuchły nagle z przerażającą wprost gwałtownością geyziry onego ognia wewnętrznego, którego „sto lat nie wyziębi“, a ze straszliwych ran narodu wytrysła gorąca krew, której krople prysły na mózgi najtęższych w narodzie i rozpaliły je, mówiąc z Garczyńskim, „wieczystem zarzewiem“.

Kłęska narodowa, doszczętne prawie materyalne zniszczenie majątku narodowego, utrata najszlachetniejszego kwiatu narodu, stała się niebywałym tryumfem i Chwałą jego Ducha; otwarły się wszystkie jego utajone niewidzialne źródła, do niebywałych wyżyn wzmogła się jego siła, sięgając najwyższych szczytów natchnienia i dostojnego kapłaństwa, i takż się stało, że rok Potępienia wyłonił z siebie olśniewający cud: w krótkich odstępach czasu ukazuje się czwarta część „Dziadów“, „Irydyon“ i „Nieboska komedia“, nieśmiertelny, dziś jeszcze w swym ogromie nie objęty twór Słowackiego, a olbrzymią arterią, przez którą się ta najgorętsza, odradzająca się krew narodu w cały jego organizm przelewała, to właśnie Wielkopolska z płomienną swą strażnicą — Poznaniem.

Aorta serca Polski, najgęstsze mroki ogniem swym przedzierającą latarnią, strażnicą wszystkich skarbów narodu, ogniskiem, w którym cały współczesny jego byt duchowy się ześrodkował, przebogatą księżnicą jego dziejów ojczystych, historii pochodzenia myśli jego, tem wszystkim był Poznań po upadku listopadowego powstania przez nieomal dwa dziesiątki lat aż po rok 1850, i o tym to Poznaniu parę słów pomówić pragnę, a gdybym na cześć Poznania między 30 a 50-tym rokiem najgorętsze dytyramby wygłaszał, nie zdołałbym jeszcze dostatecznie uczcić mocy, powagi i dostojności istnie wielkiego ducha, który po on czas gród Przemysława ożywiał.

Już udział Poznańskiego w powstaniu 1831 roku daje nam obraz ówczesnego społeczeństwa wielkopolskiego i wykazuje, jak całkiem odmiennie pojmowało ono

twarde obowiązki, jakie ważność chwili na nie nakładała, w jak całkiem innym rynsztunku niezłomnego hartu, żadnymi klęskami nie dającej się przełamać woli narodu do trwania, do przetrwania wystąpiło ono, anizeli społeczeństwo polskie pod dwoma innymi zaborami, a raczej ściślej mówiąc: niżeli Warszawa.

I wypadki listopadowe silniej i głębiej wstrząsły Poznaniem anizeli Warszawą. Prawie całe obywatelstwo Wielkopolski wyruszyło na wielki zew z wielką surową powagą, świadomością obowiązków, poczuciem karności i porządku. Już na zewnątrz odbijała się legia poznańska od wszystkich innych.

„Widziałem, pisze w swoich „pamiętnikach“ Karol Kaczkowski, generał-lekarz sztabu wojsk polskich, legię galicyjską na rosłych, pięknych koniach — cały rynsztunek, konie i żołnierze — kosztowny, bo galonów i ozdób nie żalowano, więc nie dziw, że taka kosztowna formacja dopiero post festum po bitwie ostrołęckiej stanąć była gotowa — widziałem Ci też i inną legię, na którą możne i krzykliwe obstalunki mnogie jej szwadrony zapowiadały, a tymczasem zaledwie w trzysta koni wystąpiła... Legia poznańska zaś była cicha, bez pretensyi, złożona z samych prawie obywateli, którzy z całym przejściem służbę prostych szeregowców pełnili — a podczas gdy wśród wojska polskiego pod zaborem rosyjskim roiło się od sztabowców, oficerów, od majorów i generałów, których mundury kapaly od srebra i złota, cudacznego szamerunku, szlifów, szarf i Bóg wie jakiej pstrokacizny, nosił poważny, surowy i o świętości chwili przeświadczony żołnierz Poznńczyk prosty granatowy surducik z amarantowym kołnierzem, z włóczkowemi szlifami, rzemienny pas, tornioster i czapkę, wygodną na głowę — i pod głowę podczas snu.“

I oczywiście, że takim tylko ludziom żelaznego hartu, surowej karności, żołnierzom, nienawidzącym błyskotek, a zdolnym ponosić ochoczo najcięższe trudy, powierzono

niesłychanie trudną i niebezpieczną wyprawę na Litwę, by ratować powstanie.

Naczelne dowództwo nad korpusem najdoborowszego żołnierza objął Dezydery Chłapowski, a przydzieleni mu zostali i Maciej Mielżyński i Gustaw Potworowski, ksiądz Loga, kapitan Leon Szmitkowski i Karol Marcinkowski, wszyscy Wielkopolanie z poznańskiej legii.

Znane to dzieje — bezwątpienia, ale nie zaszkodzi wciąż i wciąż je przypominać i mieć je bezustannie w pamięci, by zrozumieć, dla czego właśnie Wielkopolsce przypadła w udziale tak nieskończenie zaszczytna, tak doniosła i dostojna misja, by wtedy, gdy już powstania wyprawą na Litwę uratować nie mogła, stała się azylem dla ducha narodu, jego mocarną ostoją i bohaterską obroną.

Surowa powaga, wysokie poczucie obowiązku, prawda, i bezwzględna ofiarność, Rozum skojarzony z gorącym Uczuciem, rzutkość w pomysłach, hyżość przeobrażania myśli w owocny czyn — to te wysokie cnoty, które generację Wielkopolski z roku 1831-go predestynowały na wodza, który zdołał rozbitków w nowe szeregi formować, silną i krzepką dłońią ująć poszarpane sztandary w konwulsjach rozpacz i zwątpienia wijącego się narodu i Ducha jego ku nowemu Odrodzeniu w nowej potędze i chwale poprowadzić.

Warszawa sercem narodu?

Zawsze i bezustannie i w każdej „osobliwej chwili” oczy narodu w stronę Warszawy się zwracały.

Ale Warszawa to serce narodu — niech i tak będzie — serce gorące, zapalne, namiętne, zdolne do najgorętszych uniesień, najwyższych ofiar i poświęceń, ale serce lekkomyślne, rozhystryzowane, wyczerpujące się między dwoma ostatecznościami — ekstatycznymi upojeniami i obłądną rozpazą — nie dorosła wtedy swego przeznaczenia.

Warszawa, miasto szerokiego gestu, rozkoszny gród pałaców i Pacy i tego „Pod Blachą” i cacanych

Łazienek, rozkochana do niedawna w wspaniałych przegładach wojsk polskich, ubóstwiająca Aleksandra pierwszego, dumna niesłychaną brawurą polskich Napoleoników, — była wprawdzie zdolną życiem swych dzieci szafować, magnacką dłonią składać ofiary na ołtarzu ojczyzny, mogła stworzyć olśniewający, wybuchowy czyn w zaparciu się siebie, z zaciekłym oporem sypać szanice obronne i wały, ale ta Warszawa — to serce narodu — była za słaba, by w czasach pogromu ostać się pod obuchem w bezmyślnej bezbrości nieprzewidzianych klęsk.

To jedno jest pewnem, że Warszawa po 1831 r. przestała być sercem Polski, popadła w jakiś kataleptyczny stan odrętwienia. Rozłożyła się na łożu męczeńskiej bezwoli, urządziła wspaniały — w dziejach ludzkości niebywały exodus, z całą okazałością i honorami przeniosła się na obcą ziemię, jęła się odgrażać, konspirować, gadać bez końca, gdy milczenie było nakazane, milczeć bezradnie, gdy się na nią oczy zwracały; rozpadała się w cuchnącej nędzy i utrapieniu ducha na dziesiątki wzajem z chorą zaciekłością zwalczających się partyi — piękna, senatorska, magnacka Warszawa wyzebrywała audyencye na obcych dworach, butna i dumna jeszcze do niedawna, rozpościerała swoje łachmany w przedpokojach zagranicznych ministeryi.

Smutne i bolesne w swem istotnie warszawskiem zaślepieniu, niedołęstwa i dziecinnej ufności są dzieje emigracyi.

Po roku 1831 istotnem sercem Polski stał się Poznań, mężnem, wytrwałem, nieustraszonem sercem.

Wprawdzie warunki w Poznańskiem, w jakich duch narodu teraz jał się rozwijać, były szczęśliwsze, aniżeli w Galicyi podczas rządów Kriegów lub Langenauów, nie było tej srogiej katowskiej niewoli, jak w Królestwie, ale żelazna ręka prezydenta Flotwella była dość silna, by wszelkie zakusy myśli polskiej w zarodku zdławić, gdyby nie był Flotwell napotkał na iście wybrany rząd dusz, w których poza ofiarnością bezgraniczną, poza zdolnością

do najwyższych poświęceń żyło uczucie powinności i obowiązku, jaki tylko przez pracę spełnić można :

„Tego żądla, tej niespokojności, pisze Marcinkowski w swym przepięknym testamencie, którą Pan Bóg wlał w duszę moją, inaczej poskromić nie mogłem, jak ciągle zajmując się pracą.“

Wszystko, co się w sprawie zorganizowania na nowo na wsze strony rozbiegającej się umysłowości polskiej w Poznańskim dokonało, nosi znamię niezmoredowanej, wytrwałej pracy, wytężonych, niestrudzonych wysiłków, napięcia do ostatnich granic wszystkich sił duchowych.

Ale to nie ta mrówcza, rzemieślnicza praca choćby i najpilniejszych miernot, jeno ta rzutka, energiczna coraz szersze zakresy swej działalności sobie wykreślająca praca, którą dąży się na szczyty, praca natchniona najgorętszą miłością ojczyzny i narodu, praca, w której każdy z tych Tytanów pracy, jakimi się po on czas Wielkopolska szczyci, z dumą o sobie powiedzieć może, że przez nią w naród się wcielił, bo każdy z nich nie tylko kochał, nie tylko cierpiał za miliony, ale i pracował za miliony.

Ale praca ta nie byłaby tak nieskończenie błogą w swych skutkach, nie wydałaby tak bogatego żniwa, gdyby jej nie była poparła istotnie święta „chuć“, z której się Karol Marcinkowski w swym testamencie na pytanie, co się z jego dochodami stało, spowiada :

„Wystawcie sobie rozrztutnego człowieka, który skoro jaką rzecz zobaczy, co pasyji jego dogodzi, nie pyta, czy rozsądnie, by kupić, ale dogadzając swej chuci, wyrzuca pieniądze. Otóż taką samą chuć wlał Pan Bóg w mą duszę. Kiedym widział, że wydatkiem pieniędzy na pożyteczne, jak mi się zdawało, cele, mogłem dogodzić tej żarliwości mej duszy, z jakąż przyjemnością wydawałem, ciesząc się zawsze, że to moja prawdziwa własność, mój, że tak powiem, utwór, którym dysponuję...“

I, by zaspokoić tę chuć, woła Raczyński do Mickiewicza: „Pisz jak chcesz, wszystko co chcesz, byle po polsku — będę twoim wydawcą!“ zakłada bezcenną bibliotekę Raczyńskich, zbiera wszystkie drukowane i niedrukowane materyały do dziejów Polski, cały żywot swój poświęca w mnożeniu nieocenionych skarbów, świadczących o naszej przeszłości, któreby już dawno, gdyby nie on, zatracone zostały, wydaje własnym kosztem w kilkunastotomowej publikacji pamiętniki, listy, archiwalne materyały, kroniki, kodeksy dyplomatyczne — i któżby zliczył niespożyte jego zasługi około piśmiennictwa polskiego!

Tej chuci poświęca Karol Marcinkowski całe swoje mienie, wszystkie swoje siły, „bo jemu, jak pisze, ani jeść, ani spać, choćby był najciężej zmęczony, nie przędzej smakowało, aż całodzienną pracę ukończył“ — a w zbyt świeżej pamięci żyje w społeczeństwie polkiem ta istnie wielka i natchniona postać, bym się dłużej nad jego zasługami rozwodzić potrzebował i — temu zarliwemu pragnieniu starają się zadosyć uczynić Libelt i Jędrzej Moraczewski urządzaniem publicznych odczytów i zakładaniem nowych czasopism.

W tej to gorącej atmosferze, niezmiernego ożywienia duchowego, w gorączkowem prawie zainteresowaniu się całego społeczeństwa literaturą, nauką i sztuką powstaje czasopismo „Tygodnik literacki“ a działalność jego, to jedna z najchlubniejszych kart w dziejach piśmiennictwa polskiego.

Możny, hojny i ofiarny Antoni Woykowski poświęca niemal cały swój majątek, by stworzyć pismo, któreby zdołało zogniskować wszystkie rozproszone siły duchowe polskie, było wyrazem całej współczesnej umysłowości polskiej.

I istotnie udaje się Woykowskiemu zgromadzić około Tygodnika wszystkie prawie najtejsze siły literackie i naukowe polskie i aż do 1843 roku przez całe

pierwsze pięć lat istnienia Tygodnika znajduje w nim współczesna umysłowa Polska wspaniałą gościńcą i możliwość wypowiedzenia się na wszystkich drogach Ducha. Tu pojawiają się rozprawy filozoficzne Libelta, cenne szkice historyczne Moraczewskiego, powieści Czajkowskiego, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Bohdana Dziekońskiego, poezye Seweryna Goszczyńskiego, Lucyana Siemieńskiego, Edmunda Wasilewskiego, Romana Zmorskiego, Piotra Dahlmana, a wśród całej tej falangi pierwociny wielkiego, a niedocenionego u nas poety Ryszarda Berwińskiego, a byłby już czas, by tego nieposłedniego, a tragicznego poetę wydobyć z zapomnienia i ukazać go w całym blasku jego talentu. Może i dla niego znajdzie się jakiś kochający Miriam — Przysmycki, który strzepie pył i kurz zapomnienia z tych paru tomików, w których część tworzy Berwińskiego spoczywa.

Nigdy może w historii literatury i umysłowości polskiej nie było tak intensywnego, gorączkowego prawie ruchu umysłowego, któryby w tej mierze obejmował całe społeczeństwo, więcej je rozbudzał, do współdziałania nakłaniał, jak właśnie ten, który z Poznania przez blisko 15 lat, bo od 34 do 49 roku uczynił wspaniałą metropolę wszystkich sił umysłowych Polski.

Legendą się dziś wprost wydaje, gdy się czyta, że jeden z najzasłużeńszych mężów Poznania, Żupański,\*) majątek swój w połowie poświęcał, by wydawać dzieła Libelta, Kremera, Hoene-Wrońskiego, Cieszkowskiego, Mochnackiego, Bohdana Zaleskiego, Lucyana Siemieńskiego, powieści Bolesławity i poezye Niemcewicza a już

---

\*) Dla polskich nakładców będzie to zapewne ciekawem, dowiedzieć się, że Żupański był spolszczonym Grekiem, nazywał się Sapanos.

Również ciekawem, że artysta tej miary, co Dahlman, dla którego miejsca nie znalazło się na ementarzu katolickim, został pochowany na grecko-katolickim ementarzyku, zbudowanym przez owego Sapanos-Żupańskiego. Och, jak to dużo mówi!



nieocenioną jego zasługą to wydanie 20-to tomowego, wielkopomnego dzieła Lelewela: „Polska i dzieje rzeczy jej.“

Wiedział Lelewel, że jedynie Żupańskiemu zawdzięczał, iż cała jego olbrzymia praca nie poszła na marne, że rękopisy jego nie zbutwiały w kufrach, nie zgnily na strychach, nie rozproszyły się po wszystkich zakątkach i zakamarkach poddaszy — nie chciał brać od Żupańskiego honoraryi, bo „przecież wiem, że na sprzedaży stracisz“ — i Żupański tracił istotnie i tracił bardzo dużo, ale cóż tego magnata-nakładcę ta strata obchodziła? Ty też właśnie, co ś. p. Tadeusza Pawlikowskiego, który cały swój majątek na dźwignięcie poziomu teatru w Polsce poświęcił.

Cóż tych wielkich Panów o szerokim umyśle, wielkiej artystycznej kulturze, ofiarnem sercu — cóż ten zaiste dostoyny rząd dusz mogły straty obchodzić, kiedyć oni dogadzali według słów Marcinkowskiego owej „żarliwości duszy“, owej wewnętrznej ponad wszelką miarę szlachetnej „chuci“, dla której z rozkoszą grosz swój i siły swoje roztrwaniiali.

Pomnik Żupańskiemu jest winien Poznań!

Przez lat kilkadziesiąt, kiedy to Galicya na polu literatury nic prawie ważniejszego nie wydała, a Królestwo wydawać nie mogło, mieli pisarze polscy jedyną gościńę u Żupańskiego. 544 dzieł polskich w 655 tomach, i to przeważnie rzeczy, któreby bez nakładu Żupańskiego na zawsze dla Polski stracone zostały, a w które bez końca swój majątek wkładał, toć to chyba zasługa tak wielkiej obywatelskiej miary i takiej ofiarności, że społeczeństwo polskie, które dla, Bóg wie, jakich miernot pieje peany, powinno sobie uprzytomnić, co jest Żupańskiemu winne.

Co za podniosłe czasy, w których to, co dziś jest przeważnie wyzyskiem i spekulacją, było wtedy prawdziwym dobrodziejstwem!

Dzieje literatury polskiej pomiędzy 1830-1850 rokiem rozgrywają się po raz pierwszy może od czasów jej ist-

nienia przez tak długi przeciąg czasu na jednym tylko terenie — Wielkopolsce, a raczej w jej stolicy — w Poznaniu. Żadne inne miasto nie odegrało tak ważnej roli w piśmiennictwie polskim, nie zdołało w sobie skupić w tej mierze wszystkich sił umysłowych Polski, zogniskować w sobie częstokroć rozbieżne, na wsze strony rozproszone dążenia, kierunki, wysiłki myśli polskiej, jak właśnie Poznań po 1831 r.

To już nie rozdział — za mało powiedziałem, to wspaniały okres, w którym Myśl polska w najczystszy blasku i isticie monarszej chwale się objawiła.

Poznań w literaturze polskiej będzie istniał jako strażnica i czciciel ognia wewnętrznego ducha narodu w jego najpłomienniejszej mocy i najszlachetniejszym blasku i ta niespożyta, wielka zasługa Poznania, dziś prawie zapomniana, wtedy dopiero w całej pełni się okaże, gdy znajdzie się wreszcie istotny badacz dziejów piśmiennictwa polskiego, badacz, niechby choć z szkiełkiem w oku, ale z gorącym uczuciem, z możliwością wczucia się w owe czasy, kiedy to od poezyi nie wymagano jeszcze, by się stała czynnikiem produkcji społecznej, i górnej, lotnej, nieba szturmującej myśli polskiej nie wtlaczano w jarzmo pożytku, żądając od niej „umilenia godzin biedy“ — gdy znajdzie się ten przez istotnych synów Wielkopolski upragniony badacz, któryby napisał wielką, a wyczerpującą monografię owej epoki, godnej nazwać się — już nie złotą — ale dostojną epoką myśli polskiej, nierozzerwalnie z Poznaniem związanej.

Ogromnej zasługi jest dziełko Kazimierza Jarocho-wskiego: „Literatura Poznańska“. Czcigodny autor już w samym tytule zaznaczył, że Poznaniowi odrębne miejsce w literaturze polskiej się przynależy i zdawał sobie sprawę, czem był Poznań w dziejach umysłowości polskiej przez blisko 15 lat, ale to za ledwie skromny zarys, próba skreślenia rzeczy wielkich, a w Polsce nie-bywałych.

Ten dopiero badacz-historyk, historyk poeta, który cały ten on czas w całej jego pełni odtworzy, odsłoni nam to wrzące, kipiące życie już nie pojedynczych jednostek, ale całego społeczeństwa Wielkopolski, który nie tylko zajrzy do pałaców Raczyńskich, Działyńskich, do redakcji „Tygodnika literackiego“, ale od jednego dworku szlacheckiego do drugiego całą Wielkopolskę przewędruje, da nam obraz onej żarliwej ciekawości, onej upragnionej tęsknoty, z jaką każdą książkę, każde czasopismo rozchwytywano, pokaże nam wnętrze salonów i saloników, w których omawiano artykuły literackie, czy naukowe, rozbierano w gorącym uniesieniu, w namiętnych nieraz dyskusjach utwory najmłodszych poetów, chwalono czy ganiono, mniejsza o to, ale zawsze z największym przejęciem, odkryje nam rąbek, zasłaniający one czasy, kiedy ta górna i bujna młodzież, wracająca z zagranicznych uniwersytetów, przywoziła bezcenne zasoby nauki, tłumaczyła nowe prądy, bogaciła myśl zaścianka nowymi horyzontami wszechuropejskiej myśli, młodzież, którą profesorowie zagranicznych uniwersytetów podziwiali, dla której najgłębsi współcześni myśliciele jak Hegel lub Schelling lub też Schleiermacher osobne colloquia tworzyli, bo tak była i sercem i mózgiem ponad niemiecką młodzież wybujała — otóż: ten badacz-twórca wyświadczy swoją obszerną, wyczerpującą monografią wielkiej epoki literatury polskiej, której nazwą jest Poznań, nie tylko niesłychaną przysługę społeczeństwu wielkopolskiemu, ale spełni wielki obywatelski czyn, a na nagłówek swej pracy niech położy napis z Pisma świętego: „a pomnijcie na sprawy ojcowskie, które czynili za życia swego, a otrzymacie sławę wielką i imię wieczne!“

I co za wspaniałe i wdzięczne zadanie wskrzesić ten piękny, szlachetny rząd dusz i stawić go przed oczy współczesnym. Ukazać magnata Raczyńskiego, jak z zacieklą namiętnością porządkuje dla narodu swoje zbiory, zakłada swoją bibliotekę, narodowi ofiarowaną, dla której

pisze katalogi, wspiera i podtrzymuje czasopisma, kieruje wydawnictwem białych kruków i bezcennych pamiętników z rękopisów — jak pamiętników Paska, pamiętników Erazma Otwinowskiego, księcia Stanisława Albrechta Radziwiłła, księdza Kitowicza-Pstrokońskiego, generała Dąbrowskiego — nie ma przecież okresu w dziejach Polski, którego by własnymi materyałami, swoją niezmiernie pod względem pieniężnym kosztowną działalnością nie był wyświetlił — ukazać Libelta na katedrze sali gimnazjum Maryi Magdaleny, kiedy to ten ciężką pracą przywalony, a cięższą jeszcze troską materyalną gnębiony, filozof uczony, najprzedniejszy z przednich, wyklada wobec przepelnionej sali wśród ogromnego natłoku publiczności literaturę niemiecką, pod którą to obłok rozwija dzieje duszy i myśli polskiej, wykreśla drogi dla osobnej filozofii słowiańsko-polskiej, a mówiąc, według Jarochońskiego, o Niebelungach rozwodzi się nad Boga-Rodzicą, wspominając o Goethem, rozplómienia serce publiczności chwałą Mickiewicza.

I ujrzymy zacnego Jędrzeja Moraczewskiego, jak z olbrzymim zasobem wiedzy poucza społeczeństwo o dziejach „Słowiańszczyzny i Polski“ w pałacu Działyńskich, wykłady, które wciągały w swój zakres współczesną historję wszystkich innych ludów słowiańskich — ujrzymy zgryźliwą, dokuczliwą a tak niezmiernie zasłużoną postać Łukasiewicza, dyrektora biblioteki Raczyńskich, przeraźliwie uczonego historyka, pogromcy Woykowskich, Dahlmanów i rozmaitego rodzaju współczesnej ongi, strasznie rozczochranej, a niemniej utalentowanej „Młodej Polski“ a takiego gorącego i zapalonego czciciela czystości języka, że ponoć na łożu śmierci podczas spowiedzi poprawiał językowe błędy spowiednika.

I ukaże się nam natchniona postać Augusta Cieszkowskiego, którego wyzwolony duch szybował w onych, już ćwierć wieku później wysztydzanych „podniebnych niebios stropach“ — i zmrok tak niedalekiej, a już gęstą

mgłą zaległej przeszłości rozerwie płomienna, fantastyczna niemal wizya: Edward Dembowski: Jakieś niepomierne królewskie chłopię, „every inch a King“, powiedziałby Szekspir, śniące na jawie najbogatsze sny przeszłości, rycerskie i ofiarne do najostateczniejszych granic. Tego wyrwać niepamięci, obowiązkiem i szlachetną będzie zaśluga przyszłego badacza tego Poznania, o którym mówię, tego prawdziwego serca Polski.

W wspaniałym korowodzie przesunie się przed zdumionymi oczyma naszymi, oczyma skarłowaciałych epigonów wielkich ojców, przebogaty szereg mężów, równie wspaniałe i dostojny, jak ten, który kiedyś swą pychą i bogactwem i rozumem i ofiarnością był chlubą wolnej Rzeczypospolitej: taki hr. Maciej Mielżyński, dr. Hipolit Cegielski i Gustaw Potworowski i Józef Szuldrzyński, prałat Brzeziński, ks. Loga, ks. Jabczyński — i arcybiskup Przyłuski, dr. Marcinkowski, z najdostojniejszych pierwszy, i szereg tych wszystkich, co poprzysięgli słowa zaklęcia: „Jeżeli Cię zapomnę, Jeruzalem, niech zapomnianą będzie prawica moja“.

I w tej wielkiej, płomiennej, w jakąś wielką religię zmienionej miłości ku świętej Jerozolimie łączą się wszystkie stronnictwa, wszystkie stany — magnat Raczyński brata się z surowym, ale uczonym pedantem Łukasiewiczem, którego nieznośne humory cierpliwie znosi, za pan brat Karol Marcinkowski, syn biednego mieszczanina, z generałem Chłapowskim i Maciejem Mielżyńskim — gdy o świętą rzecz chodzi, godzą się uczciwie i szczerze zwalczające się stronnictwa, Narcyza Żmichowska budzi wśród Wielkopolanek, odciętych prawie od życia społecznego, ognisty zapał do wiedzy, do literatury, do wyzwolenia, a świetny Władysław Węzyk umie ucztować z Lisztem, lwem fortepianu, a równocześnie tworzyć stałą scenę polską, umie żyć Antoni Woykowski chmurnie i górnio, a równocześnie pozostawić polskiej literaturze drogo-cenny skarb, jakim jest „Tygodnik literacki“.

I móż zajrzeć do mieszkania Karola Marcinkowskiego, w którym, jak Wł. Bentkowski opowiada, „ruch czysto lekarski zwiększał się i urozmaicał bezustannymi odwiedzinami obywateli miejscowych i przyjezdnych, uczonych, artystów, profesorów, młodzieży i kobiet“, mieszkania, które, jeżeli gospodarza nie było w domu, stało zawsze otworem dla bliższych znajomych i gości — móż się przysłuchać w ciasnych, a tak niezmiernie sympatycznych izbach, przylegających do handlów win, takiego Pfitznera naprzykład, namiętym dyskusyom między młodzieżą nad systematami filozoficznymi Hegla, Schellinga, Schleiermachera, móż widzieć eksperymentu chemiczne czy też fizyczne dr. Mateckiego, wcisnąć się za kulisy teatru Wężyka, siąść w redakcyi „Tygodnika Literackiego“, być obecnym przy założeniu Towarzystwa Pomocy Naukowej — czyż można sobie większą rozkosz, większe podniesienie i pokrzepienie ducha wyobrazić?!

Woła Norwid w swoim „Prometheideonie“: „Nie ten, który z rdzy pancerz oskrobie, albo w mogiły dawnej zajrzy trzewie, a prochom dawnym spoczynek naruszy, wiek pomknie, lecz ten, kto się dotknie duszy!“

Słusznie, bardzo słusznie!

Ale Poznań umiał nie tylko rdzę z pancerzy oskrobywać, w całym ich niepojętym blasku współczesnym i potomnym pokazać, umiał głębiej i sumiennie i bez porównania uczciwiej w trzewia dawnych mogił zajrzeć aniżeli dotychczas się na to wazono, i prochy do nowego życia wskrzesić i do nowej chwały, umiał tajemnicze runy przeszłości odgadywać i odcyfrowywać zatarte hieroglify, lecz Poznań właśnie wtedy dotykał duszy polskiej z taką żarliwą miłością, z takim namiętym pragnieniem, by wcielić się w nią całą, że ten kto napisze oną wyśnioną, z tęsknotą oczekiwaną monografię życia duchowego Poznania między 30 a 50 rokiem, napisze jedną z najwspanialszych kart życia „Duszy Polskiej“.

Dzieło to stanie się czemś więcej, niżeli prostym literackim podręcznikiem, będzie jednym wielkim mento wielkich dzieł ojców, ostrogą i pobudką dla synów i wielką nauką, co czynić przynależy, aby „otrzymać sławę wielką i imię wieczne“.

Książka ta będzie historią tych, którzy szli na przdzie już z sił opadającego, wąpiącego narodu, z płomienną pochodnią świętego Czynu — a było ich zdumiewająco dużo. Karmili go najprzedniejszą strawą, nie oschłego rozumu, nie pożytku, ale najgłębszego, żarliwą miłością dla duszy polskiej rozplomienionego uczucia, budzili go, podnosili, własnym wzniosłym przykładem uczyli, jak się w świętej sprawie zaofiarowywać przynależy, najtęższe duchy Polski z martwych wskrzesali, karcili kochając, gromili w proroczym gniewie, stawiali przed oczy najdosłojniejsze wzory i w świętem Romowe ducha Polski, w tym jednym Poznaniu — rozniecili tak żywy ogień, że cała Polska jego blaskiem się rozlśniła i nim do nowego życia z głębokiego odrętwienia się rozbudziła.

I książka ta będzie płomiennym protestem chlubnej przeszłości ducha polskiego, kąpiącego się ongi w słonecznych blaskach podniebnych sfer, ducha, który przy biesiadnym stole Boskości zasiadał, strojny w płomienne gwiazdy najwyższych natchnień, mirażowe tęcze, po których od jednej wieczności do drugiej kroczył, ducha ostatecznej ofiarności i bezgranicznych poświęceń — gromkim protestem duchów, którzy w współobcowaniu z duchem Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego do istotnych wyżyn duszy polskiej się wzniesli i ku tym wyżynom naród cały dźwignąć pragnęli —

gniewnym i oburzonym protestem przeciw ordynarnemu uylitaryzmowi, pozytywizmu i wszelakiego rodzaju tak zwanego zdrowego rozsądku —

protestem przeciw całej tej epoce miálkiej i ciasnej i tępej, w której myśl polska, sięgająca najwyższych szczytów dla myśli wszechludzkiej dostępnych, została

nagle wtłoczona w haniebne jarzmo pożytku, poniżona do jakiegoś czynnika produkcji społecznej, strącona z ołtarzy ofiarności i poświęcenia, a w której pozwolono się rozpanoszyć sobkostwu i ciasnemu egoizmowi, mieniając go najwyższym rozumem społecznym i zdrowiem, a okrzyk *Sursum corda!* zagłuszył skowyt rozbestwionej żądzы pieniędzy:

Enrichissez-vous! Bogaćcie się!

I zaczęto się bogacić, a oceaniczne, rozpienione fale żądzы bogacenia się szybko pochłoneły ideały, jakie przyświecały tej świetnej plejadzie duchów, którzy w odmęcie potopu uratowali arkę życia duszy polskiej i ją na najwyższym Araracie osadzili.

Szybko stoczyła się arka z wyżyn Araratu i osiadła na piaszczystych, ale żyznych mieliznach, a potomkowie wielkich mężów, „zżarci rdzą zwątpienia, tak długo chlebem utrapienia żywieni i wodą ucisku pojeni“, bluźnili wszystkim idealom i urągali im — największe objawienia wieszczów i proroków narodu uznano za aberrację mózgową — „zdrowy“ ale piekielnie ciasny i ślepy rozsądek o najprzeciętniejszej wartości etycznej, wytężonej li tylko w kierunku najordynarniejszego utylitaryzmu zapanował wszechwładnie nad myślą i jej najwyższem objawieniem — sztuką polską, a wszystko, co z pod jarzma wyłamać się chciało, nazywało się kierunkiem umysłu skrzywionym, niezdrowym i w owocach swych bardzo szkodliwym.\*)

Gdzieś tam jeszcze w dali zasnuwał się w mgły majaczący Aratat — on Poznań między 30 a 50 tym rokiem — zostało się ciało, tuczące się w zgnitym marazmie przy tłustych garnkach Egiptu, ale duch już uleciał.

I takó¿ się stało, że już około 1860 roku rozpaczal filozof Trentowski nad upadkiem umysłowości w Poznań-

\*) Patrz odnośne ustępy w mojem dziele: „Szlakiem duszy polskiej“.



skiem i twierdził, że Poznańskie cofnęło się z przerażającą szybkością pospiesznego pociągu wstecz aż w ciemne mroki trzynastego stulecia.

Ale nie potem zabrał głos, by rozbierać przyczyny upadku życia duchowego w Wielkopolsce, daleki jestem od roztrząsania sumień tych, którzy mu prawie doszczętnie na ziemi wielkopolskiej zamrzeć pozwolili, za śmieszłą fanfaronadę, uważam chępliwość innych dzielnic Polski, którzy Poznańskie Beoczą szkalują, nie przychodzę z żadną krytyką, ani śmieszłą chęcią pouczenia, ale z wesołą wieścią — istotną „gaya scienza”, że nadszedł dla Poznania czas, w którym całej zdumionej Polsce pokazać może, że świetne tradycje nie wygasły, że święcie zostały przechowane w bezpiecznym ukryciu, i pokaże, że ma dość siły, dość mocy i mocarnej woli, by je do nowego życia wskrześcić i w zmożonym blasku objawić.

Nadeszła chwila, w której Poznań dowieść może, że ten jego półwiekowy sen, jego obojętność w sprawach, dotyczących życia duszy polskiej w jej najwyższym i najszlachetniejszym objawieniu — Sztuce — to nie żaden upadek — to tylko wypoczynek po niesłychanych duchowych wysiłkach, jakich dokonał przez blisko lat dwadzieścia. Duch, który takim gorącym tchnieniem ożywił przez tak długi czas omdlały i beznadziejny lud i na nogi go dźwigał, musiał wytchnąć by nabrać nowych sił do tej wielkiej misji, która go w przyszłości czeka — krew, która tak olbrzymim strumieniem przez tak długi czas cały organizm narodu przepływała, nie stęchła, nie skrzępla, ale odradzała się w ciszy i skupieniu, by, gdy przyjdzie czas, gorętszą jeszcze mocą mogła się wlać w te żyły narodu, którym krwi zabrakło.

Możne i zasobne społeczeństwo wielkopolskie stało się z najwyższego uznania godną ofiarnością przytułkiem

dla bezdomnych, śpichrzem dla głodnych: czas teraz, by pomyślało o tem, że czeka je jeszcze jedna wielka, dostojniejsza misya: podtrzymać i wzmocnić życie duszy polskiej, jak to ongi ojcowie nasi czynili. A w krwawym gniewie tej strasznej wojny, która się w głównej prawie części na naszej ziemi toczy, grozi życiu duszy polskiej rozbicie, upadek i zupełny zastój,

POZNAŃ PO 1863 R. O WY-  
KONYWANIU DUCHOWYCH  
TESTAMENTÓW I DOMIE-  
RZENIU POSŁANNICTWA  
NASZYCH OJCÓW. CZŁO-  
WIEK WOLNY.

Najcenniejszym jednakoz skarbem, jaki w bibliotece ś. p. ojca mojego znalazłem, to była „Literatura Słowiańska“ Adama Mickiewicza, która odtąd już dla mnie miała pozostać na całe życie „Księgą ksiąg“ i z którą się już nigdy nie rozstawałem.

A ktokolwiek z Was, młodsza braci moja w Wielkopolsce, chce dotrzeć do istotnych źródeł duszy polskiej, niech bezustannie wczytuje się w tę świętą biblię narodu, zwłaszcza w tom III i IV.

I, pisząc mój odczyt, miałem bezustannie na pamięci słowa ostatniego wykładu nieśmiertelnego Adama, gdy się pyta francuzów: „Jaki dowód miłości dajecie dla Waszego cesarza (Napoleona)?!“ — a zwracając się do Polski przemawia:

„— bo u nas Polaków przywiązanie ku naszym przodkom i dobroczyńcom, obowiązki, jakie względem nich mamy, nie kończą się z ich żywotem ziemskim. Żyli oni i pracowali dla naszego zbawienia — nasze życie i nasze prace powinny i m iść na ICH zbawienie. Tak religijne, jak narodowe podania nam to nakazują.

Żeby zaś zbawić ojca, trzeba koniecznie spełnić jego wolę ostatnią; trzeba wykonać jego testament duchowy, d o m i e r z a j ą c posłannictwa, które leżało na nim.“

(a którego może nie dano mu było w całej pełni dokonać, dodajmy od siebie.)

Chlubne świadectwo wystawił Mickiewicz narodowi polskiemu wobec francuzów, którzy niestety już wtedy nie pomnęli, co są Napoleonowi winni — odczytem moim pragnęłam przypomnąć ten szczytny obowiązek dzieciom wielkich ojców, którzy nam swoje „duchowe testamenta“ przekazali, o których wykonanie nikt się tak dalece nie kwapił, a nie było nikogo, kto by ich niespełnionych posłannictw „domierzyć“ pragnął, tak, że w zapomnienie poszły — lękałam się, że mój słaby głos bez echa odbije się o „twardą i plugawą skorupę“, i z tem większą radością wyczytałam w „Dzienniku Poznańskim“ niezadługo po śmierci Henryka Sienkiewicza odezwę „Ostoi“ pod tytułem: „O naszą kulturę“.

Tym obywatelom, w których imieniu ta odezwa „Ostoi“ wydrukowaną została, snąc się głęboko uświadomiło poczucie obowiązku dzieci wobec ojca, który w nienapisanym, ale całym życiem swoim stwierdzonym „testamencie duchowym“ narodowi wolę swoją przekazał, aby „domierzyło“ posłannictwa, jakie spoczywało na nim samym, — gdy wskazuje społeczeństwu Wielkopolski sposób, w jaki może i powinno uczcić pamięć wielkiego syna narodu, jakim był Henryk Sienkiewicz.

Henryk Sienkiewicz!

Nie był on jednym z największych wśród dzieci, których Polska wydała, nie był ani wieszczem, ani geniuszem, ani nawet ponad wszystkich wybiegającym artystą, ale jednym z tych, którym szczęśliwy los, nieskończenie dobrotliwa Opatrzność pozwoliła być wykonawcą „duchowego testamentu“ nad olbrzymim majątkiem, jaki wieszczowie nasi i prorocy narodowi w puściznie przekazali — był szczęśliwym wybrańcem, któremu, jednemu między tylu godnymi, było dane, stać się stróżem przebogatych skarbów.

A w dostojny, nad wszelką miarę podziwu godny sposób umiał spełniać swe ciężkie, posłannicze obowiązki.

Uprzytomnijmy sobie czas, w którym się nam ten prawdziwy pomazaniec Ducha Narodu pojawił:

Po 1863/64 roku wydała Polska, tak się zdawało, ostatnie swoje tchnienie. Stała się jednym strasliwym cmentarzyskiem. Przerażliwa ofiara stu tysięcy najszlachetniejszych w narodzie zdawała się być daremną. Jeszcze chwilę szalał na Litwie Murawiew-Wieszatiel, a w Warszawie pojętny jego uczeń, generał Berg, a potem nastąpiła śmiertelna cisza.

Uspokoila się kipiąca, nieba szturmująca fala rozpaczliwego Buntu, a z całej tej heroicznej, powstańczej ideologii nie pozostało nic, prócz zgrzytania zębów i bezbrzeżnej nędzy.

Przywodzić na pamięć te szatańskie katusze, tę całą Gehennę najstraszliwszych męczarni, jakimi naród polski swą ofiarę jeszcze ponad wszelką ludzką miarę okupywać musiał?!

Nic dziwnego, że w duszy doszczętnie zniszczonego narodu powstała zaciekle reakcja przeciwko romantycznej ideologii, która to nieszczęsne powstanie wywołała. Przeklinano bezcelowe powstanie, jako czyn obłąkańców, wyklinano i błotem obrzucano opętanych „uwodzicieli“, deptano chorągiew, wolności spragnionych szaleńców, którzy naród na pokuszenie wiedli i w bezdenną przepaść zguby go wtrącili.

Naród otrzeźwiał — przeraźliwie otrzeźwiał i do dziś dnia trwa jeszcze w tem tępem otrzeźwieniu — Polacy stali się przerażająco trzeźwymi. Pogrzebane zostały wszystkie nadzieje, porozrywano wszystkie nici, jakie „teraźniejszość“ z trzykroć razy przeklętym „romantyzmem“ wiązały, szukano ratunku w „organicznej pracy“ — albo *mutatis mutandis* w dzisiejszej „realnej“ polityce — mistyczna nauka o mesjanistycznym powołaniu Polski, którem bohaterstwa generacja z przed 1863 roku żyła, zo-

stała ostatecznie uznaną za patologiczny wybryk wyko-  
lejonego mózgu, a resztki idealistycznego światopoglądu  
dobijał „Pozytywizm“ warszawski ordynarnemi kłonicami.  
Galicya?!

„Sybirczycy zebrzą po ulicach — patryotów uważają  
za zapowietrzonych, natomiast cały kraj bije czołem przed  
człowiekiem, który do niedawna nazywał siebie Austry-  
jakiem. Nadane instytucje autonomiczne martwych po-  
tworzyły dygnitarzy — na tem koniec. Wobec rządu  
upodlenie, wewnątrz zachcianki impotentów, na sztandarze  
napis: Precz z marzeniami! — naczelni augurowie, szep-  
cący do siebie: Niech się komedia gra! tak się Galicya  
przedstawia“ pisze Kornel Ujejski do Teofila Lenartowicza  
w grudniu 1867 r., a z Krakowa pisze Lucjan Siemieński  
w tym samym czasie do tegoż Lenartowicza:

„Niczego nie wyglądaj od ziemi niewoli,  
Gdzie codzień nas uczą — g n i ć!“

Królestwo?!

Przewrót, który się tu w całej umysłowości dokonał,  
był już potworną wprost i bezwstydną likwidacją wszy-  
stkiego, co narodowi dotychczas jako „ideał“ przyświecało.  
Zadokumentował się jako płytki, płaski, bezduszny „po-  
zytywizm“.

Ku „romantyzmowi“ — a wszystko, co nie było  
najordynarniejszą pożytkowością, zwało się romantyzmem—  
zapalano wściekłą nienawiścią, poezya przestała mieć rację  
bytu „ponieważ się przeżyła i trzeba ją czempredziej między  
niepotrzebne rupiecie wyrzucić“ — a jeżeli pozwolono jej  
jeszcze się kołatać, to pod tym warunkiem, że stanie się  
tendencyjną i utylitarną, że służyć będzie najnowszemu  
ideom społecznemu i naukowemu, że wreszcie wyrzecz się  
wszelkich osobistych, indywidualnych „tonów“.

Wszyscy ci poeci: Byron, Leopardi, Musset, no  
i oczywiście Sowiński, Miron, Ordon „nie warci jednej  
porządnie napisanej rozprawy ekonomicznej, jednego prak-

tycznego wynalazku w dziedzinie rzemiosł lub przemysłu fabrycznego“.

I w szkole „pozytywizmu“ i „organicznej pracy“ chowała się to Warszawa tak dzielnie i pojętnie, że M. Kopnicka woła pod rok 1890 w apostrofie do Warszawy, gdy patrzy na to „bezwstydne“ miasto, że chciałaby:

„Paść z głośnym krzykiem na Twych ulic bruki,  
 „I głową o nie tłuc i prosić boga,  
 „By Cię chwyciły jakieś nagłe kłęski,  
 „Albo porwała ciebie wielka trwoga,  
 „I wyszedł z Ciebie ten duch męski,  
 „Co niegdyś w walce Twoje bruki krwawił  
 „I schnął — i Ciebie od podłości zbawił...“

A Poznańskie?!

Pozostała tylko „mało z przeszłością naszą obeznana generacja“ przyznaje Dr. Stanisław Karwowski w uwagach nad moim odczytem — cała wielka i święta tradycja poszła w zapomnienie, uśmiechano się z politowaniem nad snami o potędze i wolności, jak nad dziecinnymi mrzonkami, chorymi fantasmagorjami maniaków. Cały ten „święty ogień“ ekstazy uniesień, w niebo bijąca moc ofiarna, tytaniczny rozpęd, który „niemożliwość“ urzeczywistnić pragnął, wszystko to nadludzkie, co nawet zblazowana Europa w Polakach podziwiała, stało się czemś, trącącym parafianščyzyną, czemś, co wykraczało przeciw „dobremu wychowaniu“ i Polaka wobec Europy jakimś pokracznym „anachronizmem“ czyniło.

Zwolna jednak zaczęło się Poznańskie budzić pod wpływem warszawskiego „pozytywizmu“, który dość późno, bo dopiero za czasów ostatniej ery panowania Bismarcka tudotąd dotarł, przeszedł on jak „dżumy plama od serca do serca“ i tu właściwy grunt dla siebie znalazł — oczywiście w całkiem odmiennej formie.

Wyzbył się radykalizmu religijnego, wywrotowych idei „postępowych“, odrzucił wszelkie naukowo-spekula-

cyjne obłonki, przedzierzgnął się on „pozytywizm“ w surowy, ordynarny, najprostszy materjalizm życiowy, który z pogardą odrzucił i te biedne, ideowe podkłady „pozytywizmu“, jaką była wiara w „postęp“, „uszcześliwianie ludzkości“ i wszystkie te odgrzewane ideały utopistyczne Fouriera, czy też St. Simon'a aż het w górę ku doskonałemu „business“ Belamy'ego.

Powstała tylko stara, tym razem autorytetem Warszawy tysiącrotnie wzmocniona maksyma: „Enrichissez — vous!“

W dziedzinie „pozytywizmu“ spotykają się najsprzeczniejsze, czasami diametralnie przeciwne, zaciekle zwalczające się prądy: sąd o poezji Chmielowskiego, radykała, pozytywisty, postępowca, sceptyka, przyjął bez zastrzeżeń ksiądz Niedziałkowski, pisarz z rozległą wiedzą, ale wstecznik zacięty i nieubłagany wróg racjonalizmu, a ultramontanny Poznań przyjął jako jedyną zasadę wytyczną dla swego bytu szkalowany „żydowski“, „masoński“, na wskroś pozytywistyczny aksjomat, że poza robieniem grosza — point de salut!

Poznań nie zna kompromisów — wszystko co robi, robi sumiennie, gruntownie i na czysto.

I w tym czasie „gnicia“, psowania się duszy polskiej, w czasie doszczętnej likwidacji wszystkich ideałów, jakimi ojcowie nasi żyli, kiedy już gwałtem duszono ostatnie isierki, jakie jeszcze tliły pod zarzewiem potężnego kiedyś ogniska, kiedy już wszystkie przebogie kwiaty duszy polskiej w mrozie „pozytywnej“, „organicznej“ pracy, w suchej atmosferze „zakładania banków i spółek“, warzyć się jeły, powstał w Polsce artysta, który dla bytowania duszy polskiej miał nabrać niesłychanej doniosłości znaczenia:

Henryk Sienkiewicz!

On to wyczarował przed zimne, zastygłe już oczy sceptycznej, trzeźwej, aż do ostatnich granic cynizmu chłodnej i obojętnej generacji, która już oddawna wzięła



rozbrat wśród szyderskich kpin z wszystkimi „idealami“, „misyami“ i t. p. „bredniami“, nagle z nieprawdopodobną mocą olbrzymią wizję przeszłości, do nowego życia wskrzesił dawno już pogrzebane ideały, tęczami płomienistych blasków rozłunił rycerską, bohaterską, do wszystkich ofiar i poświęceń rwącą się duszę polską — z grobowców królewskich, książęcych, biskupich sarkofagów, przydrożnych kurhanów, po całym świata obszarze rozsianych grobów wiekopomnych wojów, wywlókl na dzień jasny wielką i świętą przeszłość i odwrócił oczy narodu, wlepione z nabożną czcią w „złotego cielca“, wstecz, kędy już niszczący ogień konającej duszy polskiej trawił utracone raje.

Sienkiewicz uratował duszę polską — i takóŜ stał się potężnym Tyrteuszem, który zbudził ją wiekową surmą z błogiego snu duchowego zdrętwienia, umysłowej tępoty i zdechlizny, stał się jej wybawicielem z grzęzawiska starczego marazmu i materyalistycznego kretynizmu.

I na tego Sienkiewicza, męża opatrnościowego, powołuje się odezwa „Ostoi“: „O naszą kulturę“, w której dowodzi, że jedynym uczczeniem tego Tyrteusza, to nie dziecinne, wruszająco naiwne wieczorki, połączone z deklamacyami, popisami wokalno-muzycznymi, ale spełnienie jego nie napisanego, ale całym życiem zbożnego wykonawcy woli wielkich wieszczów przypieczętowanego testamentu, by:

„domierzyć posłannictwa, które na nim spoczęło“.

Tu w tej odezwie po raz pierwszy od dawnych czasów wylania się znowu twarz onego, prostego żołnierza poznańskiego z 1831 r., którego wizerunek nam Kaczkowski skreślił, gardzącego wszelakim blichtrzem i pstrokaczną dziecinną, a świadomego swego obowiązku, i do głębi przejętego jego ważnością.

Niechaj Kraków urządza wspaniałe pogrzeby — „c'est son métier“ — niechaj Warszawa przyoblecze się trady-

cyjnym zwyczajem w „czarną sukienkę“ — tak jej z tem do twarzy — Poznań inną ma czynność do spełnienia:

„Świadom był Sienkiewicz, tak wywodzi odezwa „Ostoi“ — swego posłannictwa, gdy utworzył po stracie swej pierwszej małżonki, ś. p. Maryi, fundusz jej imienia, przeznaczony dla podtrzymywania sił twórczych w Polsce, bo nie widział godniejszego sposobu, by uczcić pamięć najdroższego, co w swem życiu posiadał“ — i w myśl, tym czynem stwierdzonego testamentu wielkiego pisarza-obywatela, nawołuje autor wspomnianej odezwy społeczeństwo Wielkopolski do najwspanialszego i najgodniejszego uczczenia pamięci tego, któremu było dane być wykonawcą „duchowego testamentu“ naszych proroków, a który całym swym życiem wedle sił „domierzał“ ich posłannictwu — uczczenia jednym wielkim czynem: stworzenia z Poznania duchowej Ostoi Polski.

A załączkiem tego Czynu, to spółka wydawnicza, związana w październiku 1916 r. „Ostoja“.

„W przeświadczeniu niesłychanej ważności i doniosłości sztuki, a głównie literatury dla bytu narodu — czytamy w tej odezwie — jako jedynego łącznika wszystkich rozerwanych części Polski, objawienia na zewnątrz naszej nierozzerwalnej jedności, stworzyło grono obywateli poznańskich właśnie w tym czasie, kiedy nakładnictwo polskie w Królestwie i Galicji boryka się z najtrudniejszymi warunkami, a działalność twórcza z natury rzeczy w znacznej mierze zatamowaną została i grozi jej poważny zastój — Spółkę Wydawniczą pod nazwą „Ostoja“, która ma na celu podtrzymanie ciągłości pracy umysłowej w Polsce przez wydawanie utworów tych autorów, którzy w czemkolwiek bądź przyczyniają się do rozrostu myśli polskiej, do rozszerzenia jej widnokregu, do rozwoju swego Ja i Ja całego narodu do całej pełni“.

„Czyż możnaby złożyć wspanialszy hołd wielkiemu pisarzowi, jak wszystkimi siłami starać się podtrzymywać i ustalać byt duszy polskiej, którą wielki zmarły tak go-

rażo ukochał? Czyżby to nie było najgodniejszym uczczeniem pamięci szlachetnego twórcy funduszu ś. p. Maryi Sienkiewiczowej, gdyby wszyscy ci, którym istotnie zależy na iście godnym u c z z e n i u pamięci wielkiego Twórcy, przystąpili z swoim udziałem do tej naszej Poznańskiej „Ostoi“, przyczynili się do jej rozrostu, tak, żeby na g o t o w y m już fundamencie mógł stanąć okazały gmach, świadczący na zewnątrz, jak Polska umie w myśl jej najgodniejszego przedstawiciela uczcić po śmierci świętą jego pamięć?!“

Och! zaiste! Godniejszej, wspanialszej pamięci, więcej monarszego uczczenia swego duchowego testamentu, nie byłby sobie mógł wymarzyć po swej śmierci ten, który biorąc dar Nobla przemówił słowy, godnymi prawdziwego magnata Ducha: nie mnie czcicie tym darem — bo znam godniejszych od siebie, ale cały mój naród...

„Dla Poznania wybiła godzina wielkiego czynu, — mówilem, kończąc mój odczyt — nie potrzebuję go już teraz określać, nie potrzebuję już teraz dla niego granic wymierzać, boć to ma być ten sam czyn, który Poznań spełnił po roku 1831.

„Niech się powtórzy ten sam czyn, ten sam samiu-tenki, a stanie się Poznań godnym tej tradycji, która mu takiego blasku nadała, taką chwałą okryła — niech teraz z dumą pokaże, że był pomny wielkich czynów swych ojców i zasłużył na to, według słów psalmisty, że: „imię jego zostanie wieczne i sława jego będzie wielką“.

Nie myślałem, że ten mój sen miał się niezadługo przyoblec w rzeczywistość. „Ostoja“, to zaranie tego Czynu, a temu gronu obywateli, którzy go zapoczątkowali, przynależy się głęboka wdzięczność, którą niemniej gorąco wyrazili mu już godniejsi odemnie, bo prawie wszyscy najwybitniejsi artyści, na których z dumą wskazujemy i nimi się chlubimy.

Nie chodzi tu o podnoszenie zasług pojedynczych jednostek — bynajmniej: chodzi tu o całkiem co innego:

Posłuchajcie natchnionych słów wieszcz - proroka, jednego z najświętszych między wszystkimi:

Adama Mickiewicza:

„Przyszedł czas, kiedy trzeba postawić ludowi przed oczyma ideał, któryby mu pomagał podnosić się, zapalać się i utrzymywać się w stanie o jakim mówiłem...“ (Mickiewicz mówił o nadzwyczajnym wzruszeniu ducha, o ogniu świętym, zapale, o tem co nas dreszczem przechodzi, gdy nas uderza coś wzniosłego, o tym płomieniu wewnętrznym, któren, gdy zgaśnie, człowiek nie zdolny jest być wolnym—). „Stan ten jest początkiem wolności prawdziwej“.

„Człowiek, który czuje sztukę, który rozognia się słowem wymownem, przyjętem w otworzoną duszę, który poświęca się za ojczyznę, nie może doświadczyć żadnego z tych wzruszeń bez wzięcia razem w siebie promyka prawdy, promyka wewnętrznego światła, promyka Bóstwa: a wtedy czuje się w o l n y m, zapomina o sobie, nie patrzy na siebie. Dla tegoż widzi on prawdę i urzeczywistnia ją na ziemi; bo gotów jest poświęcić pieniądze, żeby mieć arcydzieło, króre go zachwyca, gotów przelać krew, żeby pozyskać zwycięstwo swojemu krajowi, gotów wszystko oddać za prawdę. W takiej chwili czuje się człowiekiem zupełnym“.

Otóż mówiąc o gronie obywateli, inicjatorów „Ostoi“, mówię o człowieku, który jest „w o l n y m“ w przeciwstawieniu do człowieka „który miał nieszczęście przez dumę zgasić albo przez niedbalstwo dopuścić, żeby w nim zgasło płomień wewnętrzne“, a ten „mimo wszelkich kart konstytucyjnych zostanie zawsze n i e w o l n i k i e m“.

W odezwie „O kulturę naszą“ odzywa się zatem w o l n y człowiek do w o l n y c h ludzi, by razem z nimi przystąpić do urzeczywistnienia wielkiego czynu, którego załączkiem „Ostoja“, a ostatecznym celem: stworzenie z Poznania ostoi duchowej dla całej Polski, a być d u c h o w ą ostoją, znaczy być ostoją istotnej w o l n o ś c i w znaczeniu, jakie jej najpotężniejszy nasz wieszcz-prorok nadał.

**OSTOJA: ZARANIE CZYNU.  
JEJ PROGRAM. ODPOWIEDŹ  
NA PYTANIE: „CO ROBIĆ?”  
ZJAWA ŻOŁNIERZA OBY-  
WATELA. MOŻLIWOŚĆ  
CUDU.**

**S**połeczeństwo poddane, mówi Aleksander Świętochowski w swem bezcennem pisemku: „Ofiarność obywatelska” — nie posiadając własnego państwa, nie rozporządzając swymi środkami podatkowymi, może podtrzymać i rozwijać swą kulturę tylko ofiarnością prywatną obywateli. Ofiarność ta, która gdzieindziej spełnia dodatkową i pomocniczą funkcję dla działań rządu, u nas stanowi dźwignię główną. Co gdzieindziej jest tylko filantropią, to u nas staje się koniecznem opodatkowaniem. Kto od tego obowiązku wyłamuje się, temu zupełnie obojętną przyszłość narodu, cokolwiekby deklamował o swoich dla niego uczuciach. Gdy Goryl bije się w piersi i ryczy, to nie znaczy, że on broni lasu, w którym obrywa orzechy i owoce ze swoim stadem:

Patryota nieofiarny jest bezczelnym kłamcą, obłudnym frazeologiem!

Więcej ponadto dodałbym od siebie:

Patryota nieofiarny jest niewolnikiem, niegodnym być wolnym, bo w nim zgasło to święte, wewnętrzne płomie, o którym Mickiewicz mówi, jako o tym wiecznym

ogniu, którym naród żyje — nie godzien jest nawet oglądać jakiegokolwiek tworu, z ducha poczętego: niechaj idzie raczej do londyńskiej mennicy i tam „napawa swe oczy w rozkosznym, drżącym upojeniu biletem na milion funtów szterlingów, który tam ponoć ciekawym pokazują.“

Czyn tylko z ofiary porodzić się może.

Ofiarnością i gorącym ukochaniem kultury polskiej, jedynej podstawy bytu narodowego w obecnych warunkach, znalazł w o l n y człowiek w Wielkopolsce grono w o l n y c h ludzi i z drobnych zaczątków jęła się dźwigać instytucja obywatelska „Ostoja“: wspaniałe gmach przyszłości, którego kontury w programie dodanym do pierwszego dzieła, jakie ta spółka w świat puściła: „Sity“ Jana Kasprowicza, już jasno i dokładnie się zarysowują.

Ponieważ nie wszędzie ten, dla budzącego się życia umysłowego w Wielkopolsce epokowy program, dotrze, albo, gdzie dotarł, mało może na niego zwrócono uwagi, więc daję go tu w związku z wszystkim, com dotychczas powiedział, w całej rozciągłości: uwypukli się przez to niejako, i na tle moich własnych wywodów uzyska należyty relief.

Otóż program „Ostoi“, a raczej wytycznia dla pięknego odrodzenia się życia duchowego w Wielkopolsce:

„Twierdził ongi Kazimierz Brodziński, że ziemia polska jest rolą na trzy pola podzieloną: dwa już rodziły, „Wasza niwa (zwracał się tu do Poznaniaków) leży jeszcze odłogiem“.

„Słowa jego mogły być słuszne przed 1830 rokiem. Ale właśnie w tym czasie między 30 a 50 r. ubiegłego stulecia wzięli się ojcowie nasi do uprawy zaległych odłogów, wielką ich część zaorali, posiew przyniósł bogaty plon, a jeżeli potem znowu jęło się zachwaszczać to nieszczęsne pole, było to winą nadmiernie ciężkich i wrogich warunków, które uniemożliwiły wszelaką pracę nad dalszą uprawą.

„Warunki te i dziś niewiele się zmieniły, wzbogaciły się jednak materyalne środki społeczeństwa w tej mierze, że może już ono po długim wypoczynku podjąć walkę z wszystkimi trudnościami i przeszkodami, może się znowu pokusić o ten wielki i święty zaszczyt, którym się Poznańskie raz już, trzy ćwierci wieku temu, pochlubić mogło.

„Byt życia umysłowego w Polsce jest dziś wypadkami wojny nieomal tak samo zagrożony, jak po strasznej klęsce po roku 31-ym. „W ten pozbawiony końca Pańskiego gniewu dzień“, mówiąc z Kasprowiczem, w tej przekrwawej wojnie, która się w głównej prawie części na naszej ziemi rozkładała, grozi życiu duszy polskiej rozbitcie, upadek i zastój.

„Jedna tylko dzielnica polska ostała się w tej straszliwej zawierusze cała i nietknięta: Poznańskie

„Z niebywałą ofiarnością pospieszyła Wielkopolska na pomoc zniszczonemu klęską wojenną Królestwu, stała się przytulkiem dla bezdomnych, śpichlerzem dla głodnych i w dalszym ciągu łagodzi aż do kresu możliwości głód materyalny swych braci. Ale to jeszcze nie wszystko.

„W nowej sile odżyła w Wielkopolsce w ten „Pańskiego gniewu straszny dzień“, w którym dusza Polski najgłębiej cierpi, święta dostojna tradycja Raczyńskich, Działyńskich, Mielżyńskich, Libelta i Marcinkowskiego, Woykowskiego, Wężyka, całego wspaniałego zastępu dusz, który w Poznaniu właśnie przez ćwierć wieku tworzył gościnną, magnacką ostoję dla życia ducha narodu. W nowym blasku roziskrzyła się tradycja onego chlubnego okresu w życiu Wielkopolski, kiedy Poznań stał się sam Ostoją dla rozbiegającej się na wsze strony umysłowości, zogniskował w sobie wszystkie po roku 1831 rozproszone siły duchowe Polski i stał się ośrodkiem całej jej współczesnej twórczości. Odżyła świetna tradycja, a z nią zbudziło się wśród pewnego odłamu naszego

obywatelstwa Wielkopolskiego, które zdołało sobie uświadomić, że dla Polski literatura i sztuka wogóle ma całkiem inne znaczenie, aniżeli w życiu jakiegokolwiek bądź narodu, że w sztuce, a przede wszystkim w literaturze zdołała się przechować w promiennej mocy i sile dusza narodu, gorące pragnienie, by Poznań podjął się tej dostojnej misji i w tym przerażającym odmęcie „wałącego się domu“, „ginącego świata“ podtrzymał zagrożony byt umysłowości Polskiej i stał się znowu dla życia duszy narodu prawdziwą „Ostoją“, Araratem, na którym w spokoju osiąść może arka myśli polskiej.

I, pomne wielkich i dostojnych czynów swych ojców, znalazło się grono obywateli wielkopolskich, które pod nazwą „Ostoi“, założyło spółkę wydawniczą, mającą na celu teraz właśnie dać pisarzom polskim — których twórczość w obecnych warunkach została zatamowaną — możliwość wydawania ich utworów, przyjść im tem samem z doraźną materyalną pomocą, a społeczeństwu polskiemu dostarczyć karmy duchowej, której potrzebuje teraz więcej, niż kiedykolwiek.

Ta jedna, jedyna, z potrzeb duszy narodowej porodzona myśl i zrozumienie najistotniejszego obowiązku obywatelskiego wobec narodu, były drogowskazem przy zakładaniu „Ostoi“.

„Ostoja“ zatem nie jest przedsiębiorstwem kupieckim — wprost przeciwnie: odruchem myśli obywatelskiej, by umożliwić i uniezależnić byt materyalny myśli polskiej od wszelkiej spekulacji, nierozłącznie związanej z każdym przedsiębiorstwem nakładniczem.

„Ostoja“ nie uznaje w dziedzinie umysłowości polskiej żadnych tak zwanych kierunków, nie czyni różnicy między tak zwaną „starą“ sztuką, a „modernistyczną“, bo sztuka jest tylko jedną i niepodzielną i tą jedynie, w której człowiek szuka treści i nadwartości swej własnej duszy i duszy swego narodu — „Ostoja“ wreszcie nie popiera żadnych tendencji, ani też nie jest na usługach



jakichkolwiek partyi, czy to społecznych, politycznych, lub jakichkolwiek innych:

„Wszelaki twór, czy to poezya, powieść, dramat, historia, krytyka czy filozofia, w każdym razie twór, który, czy to życie jednostki, czy też życie całego narodu ku wyższej wartości podnosi, w którym czytelnik polski odnajdzie całą pełnię swego Ja i pełnię życia narodowego, ową nadwartość życia poza codzienną empiryczną rzeczywistością, poza wszelką przemijającą przypadkowością, dozna w „Ostoi“ jak najgorętszego przyjęcia.

„To jest cały program „Ostoi“ i jedną myślą, która przyświecała jej założeniu.

„Dziś jeszcze Spółka „Ostoja“ dźwiga się z skromnych początków, ale żyjemy nadzieję, że myśl ta głęboko w całe społeczeństwo się wkorzeni i szeroko się rozgąłęzi, że na tych podwalinach, które dają obecnej Ostoi szczupłe grono ludzi, wzniesie się szczytny gmach całokształtu myśli polskiej, dostojny i wspaniały pomnik, jaki od dwóch swych siostrzyc, oderwana Wielkopolska, wystawi swej własnej miłości ku całemu narodowi, świat cały zdziwi swoją niezmożoną siłą, hartem i godnością i w wspaniałej puściźnie przekaze potomności.

„Ons huys“ — „nasz dom“ wyryto złotemi głoskami na froncie wspaniałego gmachu, jaki wystawili dla siebie robotnicy flamandcy i z dumą go pokazują w Gandawie cudzoziemcowi. Oby nadszedł ten czas, kiedy Poznańczyk będzie mógł wskazać na „Ostoję“ jak na nasz symboliczny „Ons huys“.

Odparciem stałaby się „Ostoja“ na wszelkie upakarzające zarzuty, odpowiedzią na wszelkie wyczekujące pytania, latarnią morską na wrogim cyplu skał wśród odmętów szalejących burz, które się o nie rozbijają i rozbić muszą, dopóki ona stoi niewzruszona by rozlać na całą Polskę swe światło.

Czynem i symbolem razem ma być „Ostoja“ — to jest jej najdosłojniejsze powołanie.

„Pierwszą seryę naszych wydawnictw rozpoczynamy dramatycznym utworem Jana Kasprowicza, tego niezaprzecznie największego syna ziemi Wielkopolskiej. Pozatem nabyliśmy cały szereg utworów najwybitniejszych naszych pisarzy, które wydawać będziemy w krótkich odstępach czasu. Zaczątek istnienia „Ostoi“ zapowiada się nader pomyślnie, ale, aby „Ostoja“ mogła stać się iście narodową i obywatelską instytucją, prawdziwą „Macierzą“ dla Myśli Polskiej, duchowym, dumnym i bogatym „Ons huys“ — na to potrzeba dostojnego i ofiarnego połączenia i zespolenia sił całego obywatelstwa Poznańskiego i jego współdziałania.

To nasz obowiązek służby narodowej!“

Uderza głównie w tym programie zapewnienie, że „Ostoja“ jest przede wszystkim odruchem myśli obywatelskiej, by umożliwić i uniezależnić byt materialny myśli polskiej od wszelkiej możliwej spekulacji, nierozłącznie związanej z każdym przedsiębiorstwem nakładniczym.

Już nieraz próbowali twórcy polscy uniezależnić byt swój od spekulacji, wyłamać się z pod jej twardego, duszącego jarzma — stosunek twórcy do wydawcy wywoływał nieraz gromkie protesty, urągliwe i bolesne wykrzyki oburzenia, skandaliczne procesy, najprzykrzejsze w świecie zatargi — próbowano dla swej obrony zakładać własne spółki wydawnicze, ale brak sprężystej organizacji, niedołność i bezradność w sprawach handlu, a przede wszystkim brak dostatecznego kapitału, któryby mógł do skutecznej walki wystąpić w szranki z zawodowem nakładniczym, uniemożliwiał te heroiczne zakusy i obracał je w niwecz, a twórca, któremu jego „spółka wydawnicza“ mogła przynależne mu honorarja conajwyżej skąpemi ratami w długim przeciągu czasu wypłacać, musiał prędzej czy później w skrusze i pokorze wracać z powrotem do tego samego wydawcy, na którego niedawno jeszcze gromy ciskał.

Jeżeliby więc „Ostoja“ zdołała na podstawie poważnego kapitału urzeczywistnić marzenia wszystkich niemal twórców polskich, to znaczy, jeżeli zdoła to przeprowadzić, że artysta nie będzie potrzebował się dzielić z wydawcą zyskiem z swej pracy stósunkiem, który aż nazbyt często przechodzi miarę zwykłego „wpół na wpół“, niepomiernie wydawcę bogaci, a przeciwnie zmusza artystę do wyżyłowywania wszystkich sił, by ostatnimi wysiłkami swój byt materialny podtrzymać, zmusza go do sprzedaży niedonoszonego jeszcze tworu, bo artysta niema sposobu odczekać, aż twór jego dojrzeje, wyczerpuje w pracy zarobkowej swoje siły i niszczy je właśnie wtedy, gdy największej i najstaranniejszej opieki potrzebują, by twór mógł w całej pełni dojrzeć — otóż jeżeli „Ostoja“ tego dokona, to stanie się dla twórcy polskiego stokroć razy większem dobrodziejstwem, aniżeli mogłyby się stać niem bogate fundusze, jakimi n. p. Skandynawia rozporządza, której poszczególne rządy swoim twórcom roczne pensye i to w pokażnej wysokości, doraźne zapomogi i wielkie stypendya wypłacają.

„Ostoja“ stanie się wtedy istotną „Akademią Polską“, nie tą, teraz już całkiem przeżyłą akademią strupieszających „nieśmiertelnych“, ale tych świeżych młodych sił, które nie będą potrzebowały się wyniszczać w upokarzającym, niszczącym niedostatku, zabagniać się w zarobkowej pracy, a nieraz dla chleba zaprzedać własne sumienie i godność.

Artysta polski — o tem społeczeństwo polskie, które mało co głowę sobie losem swych artystów zaprzęta, mało co wie — to z małymi wyjątkami człowiek, który ma ten piekielny przywilej, być „wstydliwym“ nędzarzem — byli nim prawie wszyscy, nie pomijając Mickiewicza, Norwida, Garczyńskiego — nie stałoby stronnic na wymienianie nazwisk ich wszystkich — ograniczę się tylko jednym jaskrawym przykładzie tej „wstydlivej“ nędzy:

Może przed siedmiu, czy ośmiu laty — nie pomnę dobrze — opowiedział nam pan Ferdynand Hoesick, syn

słynnego nakładcy Hoesicka ciekawy, a niezmiernie pocuczający fakt z życia Moniuszki:

Twórca „Halki“, niewyczerpanego źródła bogatych dochodów opery polskiej, po dziś dzień słusznie ubóstwiany przez społeczeństwo, boć pierwszy dał mu operę, która na on czas mogła się mierzyć z operami twórców „europejskich“ i dziś jeszcze niezliczone rzesze w zachwyty wprawia, udał się, przyparty ostatnim niedostatkiem do swego nakładcy Hoesicka, ojca Ferdynanda, z pokorną prośbą o zaliczkę — pięciu rubli!

Słyszycie? Pięciu rubli!

Otrzymał tą królewską zaliczkę, ale, gdy schodził z wschodów mieszkania swego mecenasa, został, już to wyczerpany nędzą, już to wskutek nadmiaru radosnych wzruszeń — tknięty paraliżem.

Nie mówię o współczesnych artystach — wstyd mnie wspominać o takim Kurzawie n. p., jednym z tych rzadkich rzeźbiarzy, który mógł być imię Polaka-artysty chlubnie roznieść po całej Europie, a który w braku modelu był zmuszony siebie samego w lustrze modelować i literalnie umarł z głodu — nie mówię o wszystkich tych, na których piekielne borykanie się z krańcowym niedostatkiem aż nadto się napatrzyłem, więc ostatecznie nie byłem zdziwiony korespondencyą w „Kurjerze Poznańskim“ pod tytułem „Co robić?“, w której korespondent zwraca uwagę społeczeństwa na tych, którzy wytwarzają wartości narodowej kultury, a poprostu z głodu umierają, lub samobójstwem kończą — natomiast głęboko byłem poruszony artykułem Jerzego Hulewicza w „Dzienniku Poznańskim“ w odpowiedzi na to rozpacze: Co robić?

Te płomienne słowa, owiane żarem gorącego, ofiarnego serca iście wolnego człowieka są conajmniej godne, by zestawić je z słowami, którymi osiwiwały w boju o prawa człowieka, prawa narodu o niezmierną doniosłość kultury polskiej, Aleksander Świętochowski w wymienionym cytacie na początku tego rozdziału wypowiedział —

zbyt bogate i dokonanym już czynem opromienione słowa, by miały pójść w zapomnienie i zbutwieć po niedługim czasie na lamach codziennego pisma: Otóż, co pisze Jerzy Hulewicz:

„Czy w chwili obecnej ogarniamy całokształt naszych narodowych zadań? — O nie! stokroć razy nie!

„Nie pozwólmy oszołomić się świadomością naszej tężyzny i nie sądźmy, żeśmy już godnie spełnili nasze zadanie w przelomowej chwili.

„Jeżeli naród wykazał, że wiekowa niewola nauczyła go być narodem rozumnym, gospodarnym, patrzącym trzeźwo w przyszłość, jeżeli wykazał, że zdolen być sobą, że zdolen własnym prowadzić ramieniem ster swego losu i własne rozpiąć żagle, by płynąć wartko po dziejowej fali, jeżeli w wieku niewoli zdołał z organizmu chorego przeistoczyć się w organizm, pulsujący pełnym, zdrowym życiem — **niechaj** baczy pilnie, by złe załazki jego ducha **nie wzmogły się w** chwili, kiedy pierwiastki dobre **najwyższego** wymagają napięcia.

„Zaniedbanie jednej z wielu konieczności narodowych **mścić się będzie w** przyszłości niemiłosiernie: **to** też **baczyć** musimy, by właśnie **w** takiej chwili, jak obecna, kiedy to oczy narodu siłą rzeczy w jedną wytyczną stronę zwrócone, nie uрониć żadnego ze skarbów, które tworzą wspólnie wewnętrzną wartość społeczności naszej.

„Jednym z tych zagrożonych skarbów, to skarb bodaj najcenniejszy jakim jest narodowa kultura, wyrażająca się przedewszystkiem w literaturze i sztuce.

„Znając szerokie rzesze naszej t. zw. „kulturalnej“ części społeczeństwa, nie zdziwimy się bynajmniej, słysząc pogląd, według którego nonsensem jest myśleć o książce, lub obrazie, kiedy pożoga wojny szaleje nad krajem, kiedy giną tysiące na licznych polach walki“.

Niewątpliwie niejednen z czytelników stanie przeciwko naszym wywodom z tarczą podobnego wykrętu, uzbrojon w miecz t. zw. realnego patrioty, który większe cele ma na

oku, niż zaprzątanie sobie głowy w obecnej chwili książką lub obrazem.

Na to jest jedna tylko odpowiedź: ową tarczą „narodową“, owym mieczem „o wielkich celach“ jest pospolita gnuśność umysłu i bezprzykładne ubóstwo ducha.

Kto dzisiaj tak odpowiada na dążenia kulturalne twórczych jednostek narodu, ten to samo głosi w czasach spokojnych, wysuwając jedynie inne argumenty, mające osłonić ono umysłowe lenistwo i ducha skarłowacenie.

Spółczeństwo o tak wysokich aspiracjach, jak nasze, wydać musi z siebie ludzi, którzy zdołają wszystkie narodowe wartości ożywiać, a skoro czynić tego nie umiemy, wtedy jesteśmy społeczeństwem, chromającym czy w tym, czy w owym względzie.

Kto Polskę w sercu nosi, ten nie odzywa się z niechęcią o jakimkolwiek wzniosłym jej porywie, choćby praca jego narodowa w zgoła przeciwnym szła kierunku.

To też wiadomą jest rzeczą, że do zagadnień kultury z przekąsem i niechęcią nie odnosi się żaden prawdziwy narodowy pracownik, choćby główna jego praca żadnego z tą kulturą nie miała związku: ale niechęć ta i odraza tkwi w jednostkach, odnoszących się do każdej pracy społecznej z leniwem ramion wzdrygnięciem. Ci zaś z pewnością najczęściej mają na ustach frazesy o wielkiej przełomowej chwili, skoro przystępuje się do nich z żądaniem wyrażenia choć drobnego ruchu w kierunku, pozornie nie związanym ściśle z oną chwilą przełomową.

Ludzi takich mnogo jest u nas, jak nie braknie ich nigdzie; tych też możemy pozostawić na uboczu.

Przecież nie należy oceniać społeczeństwa zbyt nisko; naród, który wydał cały szereg przepotężnych wyrazicieli niespożytego swego ducha, posiada cały zastęp ludzi pojmujących istotę swej kultury i odczuwających ważność podtrzymania jej tętna właśnie w chwili, kiedy zagłada i zniszczenie największe święci tryumfy.“

Tu przytacza Hulewicz głos jednego z najpoważniejszych autorów naszych o przeraźliwej nędzy materialnej tych robotników w zakresie pracy duchowej, którymi się chlubi każdy naród, którzy pracą swoją i mocą swego talentu byli karmicielami całego narodu, i pisze dalej:

„W ciężkiej trosce o los całych zastępów twórców polskich pyta autor artykułu: Co robić?

„Może pytanie to przebrzmi bez odpowiedzi, może nie wywoła u nikogo rumieńca wstydu, zwłaszcza, że często najżywotniejsze zagadnienia znajdują zdawkową gościnę conajwyżej w „dodatkach“ naszych gazet.

„Dla tego należy tu stwierdzić, że odpowiedź na to pytanie daliśmy my, Wielkopolanie, zanim się ono ukazało.

„Dziwna rzecz, że właśnie Wielkopolska, zwana polską Beocją, wykreślona nieopatrnie a systematycznie z całokształtu organizmu polskiego przez szereg „kierowników“ życia w Galicyi, że właśnie ta Wielkopolska pierwsza pomyślała o podtrzymaniu polskiego twórczego życia wśród wojennej nawałnicy.

„Wiadomą już rzeczą, że poznański Salon Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych stał się poważną pomocą dla artystów całej Polski, że społeczeństwo Wielkopolskie coraz gorliwiej popiera organizacyi tej wysiłki, że zdoła ona już kilkudziesięcioma tysiącami marek rocznie przyjść z pomocą artystom naszym, w chwili, gdy z przyczyny wojny byt ich został poważnie zagrożony.

„Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu założone przed kilku laty rozwinęło się głównie w czasie wojny. Ale tem dziwniejsze, że właśnie ta polska Beocja wśród zawieruchy wojennej pomyślała o grożącej nędzy polskim autorom i o możliwości długotrwałego zastoju w twórczej pracy naszych pisarzy, i mimo zawieruchy wojennej a raczej za jej przyczyną stworzono w Poznaniu w ubiegłym roku organizacyę wydawniczą p. n. „Ostoja“, celem pójścia z pomocą zagrożonym polskim autorom. Nie jałmużną ma być ta pomoc społeczeństwa, ale na-

leżnem literatom i artystom poparciem w ich twórczych ideach, poparciem rodzimej kultury srodze przez wojnę zagrożonej.

„Oto odpowiedź na zapytanie „co robić“. Dwie wymienione organizacje w Poznaniu powstały na terenie, budzącym wielkie wątpliwości o przyszłości i skuteczności ich zamierzeń, to jednak nie odstraszyło organizatorów od podjęcia inicjatywy i spełnienia obowiązków w formie, którą uznali za najwłaściwszą. Powodzenie podjętej pracy spoczywać będzie w ręku kulturalnej części społeczeństwa polskiego wszystkich trzech zaborów; pomoc zorganizowana jest bowiem dla twórców całej Polski.

„Nie z jakiegoś małodusznego patriotyzmu lokalnego wskazujemy tu na podjętą pracę w dwóch organizacjach poznańskich, ale li tylko w tym celu, aby szerszy ogół wszystkich zaborów zwróconą miał uwagę na gotowe instytucje w tej dzielnicy, która, oszczędzona przez straszną nawałnicę wojenną, w pierwszym rzędzie przyjąć może na siebie obowiązek ratowania nie tylko życia gospodarczego narodu, ale niemniej i jego życia kulturalnego. Na zapytanie, czy w chwili obecnej ogarniamy całokształt naszych narodowych zadań? odpowiedzieliśmy wyżej przecząco. Na zapytanie autora głosu z Galicyi odpowiedziwały dwie wymienione organizacje. Pozostaje pytanie dziś jeszcze otwarte, czy społeczność polska okaże się dość silna, aby wydać z siebie dostateczny zastęp ludzi, niezasklepiających się w swoim kierunku, ale ogarniających całokształt narodowych konieczności.“

Znowu jawi się przed oczyma wizya poważnego, dostojnego żołnierza z legii poznańskiej z 1831 r., świądomego świętej sprawy, dla jakiej się poświęca, gorąco przejętego swoim twardym, ale zaszczytnym obowiązkiem — żołnierza, jakiego nam Kaczkowski odmalował, na którego barki Polska ongi najkrwawszą i najtrudniejszą misję złożyła: ratowanie powstania na Litwie.

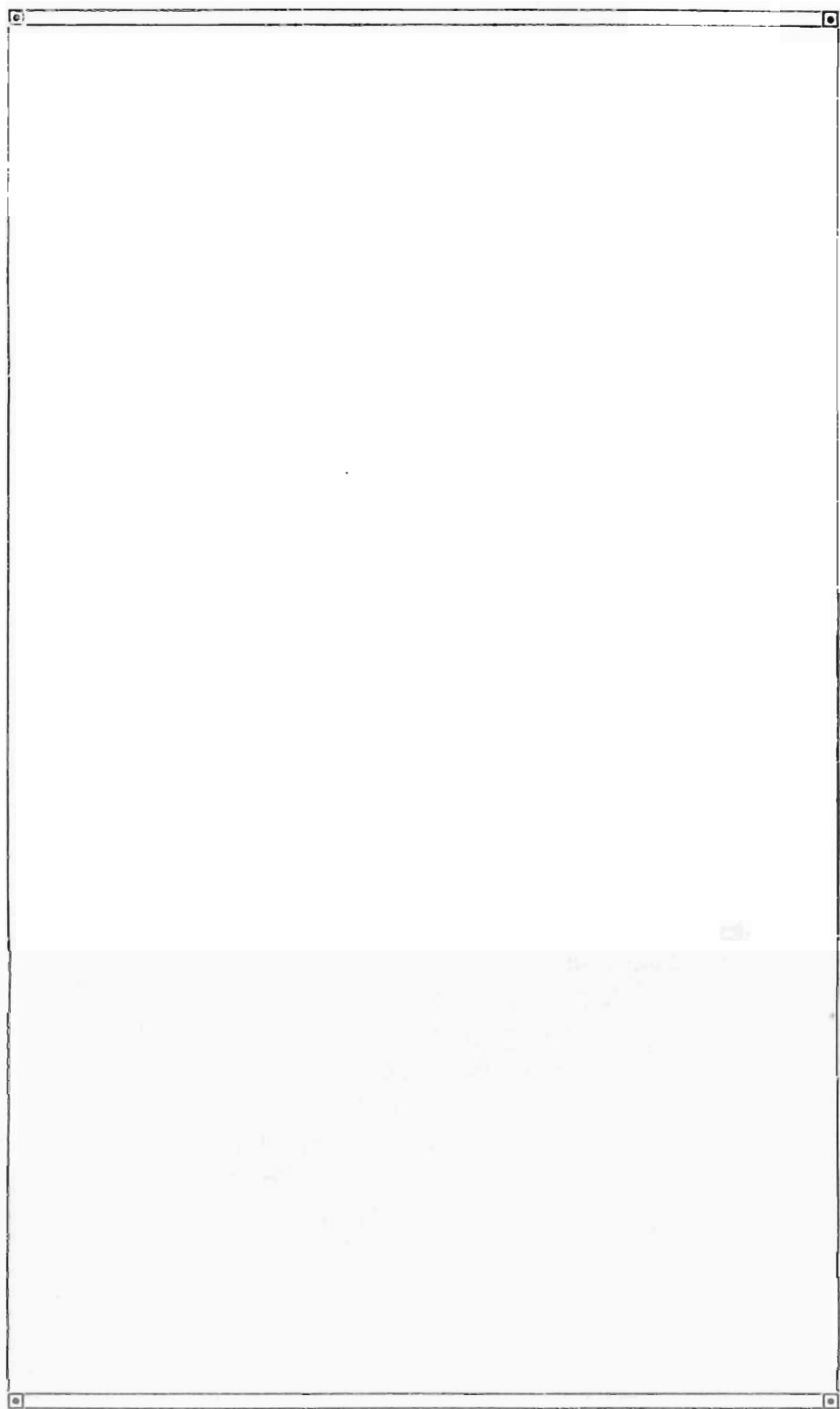
Twierdzi Mickiewicz, że żołnierz, wystawiony na głód i śmiertelne znużenie, na wszystkie męczarnie fizyczne,



piekielne udreki, — żołnierz, dla którego nieraz jedynym pokarmem jest s ł o w o i innego posiłku nie zazna, prócz gromkiego, do głębi duszy wstrząsającego go hasła, zachował żywą tradycję c u d ó w.

Dzieje legionu poznańskiego pełne są rysów niesłychanego poświęcenia i bezprzykładnej ofiarności — i w tym samym żołnierzu-obywatelu poznańskim dnia dzisiejszego, który broni się wytrwale i zwycięzko już w ostatnich okopach, zalewanych bezustannie gradem śmiertelnych pocisków, żyje widocznie tradycja c u d u, jeżeli wśród najcięższych warunków bierze się do budowy „Ostoi“: mocarnej odpowiedzi na rozpaczliwe: Co robić? kusi się na rozwiązanie sprawy, która przez wiek cały, twórcom polskim ich siły pętała i mocarny ich tuk niszczyła, a w Poznaniu, tem biednym, zapomnianem Bethlehem Polski stworzyć pragnie jakąś słoneczną Jerozolimę duchowego Bytu Polski.

Jeżeli „Ostoja“ dokona tego cudu, że istotnie uniezależni siłę twórczą Polski od wyzysku i spekulacji kupieckiej, wtedy Poznań stanie się tem, czem już był raz za czasów Żupańskiego, zogniskuje w sobie całą literaturę polską i kulturę, oczywiście, o ile się w słowie przejawia, a tu już pierwszy krok na wspaniałej drodze ku najwyższemu dostojęństwu, jakie miasto polskie osiągnąć może, by stać się duchową ostoją Polski...



**ROZSZERZENIE PROGRAMU „OSTOJA”  
NA PRZYSZŁOŚĆ. POJĘCIE NARODU  
I ZNACZENIE SŁOWA „MY”. „NASZ  
DOM” NAJSZLACHETNIEJSZY POMNIK,  
JAKI CZŁOWIEK WOLNY DLA SWEJ  
MIŁOŚCI NARODU WYSTAWIĆ MOŻE.  
ŻOŁNIERZ-LEGIONISTA Z 1831 R. — DZIŚ  
ROBOTNIKIEM-BUDOWNICZYM.**

Szersze jednak kręgi wyznaczyła sobie „Ostoja” dla swej działalności nad to wszystko, com w uprzednim rozdziale ściślejшему rozbirowi poddał.

„Ostoja” pragnie osiągnąć ostateczny i najwyższy cel: stać się wyrazem IDEI, jaką naród polski żyje, stać się w najwspanialszem tego słowa znaczeniu DOMEM NASZYM, świętem Romowe Duszy Polskiej:

„Dziś jeszcze Spółka „Ostoja”, dźwiga się z skromnych zaczątków, ale żywymy nadzieję, że myśl ta” — ta wielka ofiarna myśl „wolnych” ludzi — „głęboko się w całe społeczeństwo wkorzeni i szeroko i owocnie się rozgałęzi i tem gorętszą żywymy nadzieję, że na tych podwalinach, które obecnie s z c z u p ł e grono ludzi daje, wzniesie się szczytny gmach całokształtu myśli polskiej, dostojny i wspaniały pomnik, jaki Wielkopolska, oderwana od dwóch swych siostrzyc, swej własnej miłości ku całemu narodowi wystawi, świat cały swoją niezmożoną siłą, hartem i godnością zdziwi i potomności w wspaniałej puściźnie plon swej pracy przekaże” — czytamy w programie, który już daleko kochającymi, nadziejnemi ramionami w przyszłość wybiega.

Po dziś dzień ciekawiła Wielkopolska w ostatnich czasach Europę wozem — Drzymały, wyrazistym symbolem jej hartu i niezmożonej siły, wprawiała go w podziw swoimi spółkami zarobkowymi, bankami przemysłowymi, niesłychanie intensywną uprawą roli, gospodarką ekonomiczną i nadzwyczaj sprężystą organizacją finansową, ale to mało — bardzo mało: to tylko on bilet na milion funtów szterlingów, który w mennicy londyńskiej oglądać można.

Innego Czynu było potrzeba, by mózdz z wyzwolonej piersi wydobyć grzmiący okrzyk: Jestem! Jestem narodem, więc jestem: to nasze polskie: „Cogito, ergo sum!“

Dla nas Polaków jedynym pewnikiem istnienia, to przeświadczenie, że jesteśmy narodem.

Idę szlakiem myśli Mickiewicza:

Całą naszą potęgą, to tajemniczy związek między cząstkami jednej całości organicznej, a ogółem, wyobrażającym IDEĘ tych jestestw.

„...Wiadomo, że krzew północny, przeniesiony na południe puszcza liście i kwitnie zawsze współcześnie z rozwijaniem się swego gatunku na ziemi ojczystej... nie możnaż tedy byłoby uczynić ztąd wniosku, że, kiedy tak mało ożywione jestestwo łączy wspólność ukryta — ludzie, te stworzenia, posiadające największą i najsilniejszą masę życia, są związani daleko mocniej i głębiej?“

Nigdzie nie objawił się ten tajemniczy związek między jednostką, a całością, jak w tej, cały ogół wyobrażającej IDEI: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki MY żyjemy!“ — a to „MY“, to symbol najwznioślejszej „symbiozy“, jaka kiedykolwiek z jakiegoś narodu jedną, organiczną całość, związaną niewidomą spojnią, uczyniła — symbol świętego współżycia zbioru ludzi, wezwanych od Boga do spełnienia pewnej misji — jakiej? nie wiemy, ale biada narodowi, której jej nie odczuwa, inaczej przestaje być narodem — zbioru ludzi, sprzężonych obowiązkiem „wzajemnego zastępowania się w pracy“, połączonych „tem

prawem wiekuistym, jakim jest związana brzoza polska, przesadzona w Szwajcaryi lub Włoszech, długo na wiosnę stojąca naga wśród kwitnących migdałów i kasztanów, dopóki jej ciepło tej pory, jakie zachodzi pod rodzinnem niebem nie zazieleni.“

To „MY“, to prześwięta posłannicza IDEA całego narodu, której istoty nie znamy — wieszczowie nasi szukali jej w Mesjanizmie, a nie nam pygmejom godzi się tę sprawę rozstrzygać — to jedno tylko wiemy, że mocą tej tajemniczej IDEI jesteśmy narodem i to narodem, wśród wszystkich innych do jakiegoś wielkiego celu wybranym, boć to przecież naród, powrozami siekany, na krzyż rozpięty, kopany, torturowany i do czerwieni rozpalonem żelazem w najstraszliwszych torturach przypiekany, a który jednakowoż, jak ongi święty męczennik Wawrzyniec, urąga swoim katom i woła, by go na drugą stronę obrócono, bo ta jedna już dosyć przypieczona.

Idziemy drogą, której celu nie znamy, ale idziemy nią w zwartym szeregu, gdzie, jak Garczyński mówi:

„...Pokolenie za pokoleniem

Ginie, jak w ogniu ofiary“ —

i to czyni z nas naród! Idziemy drogą ofiary, poświęceń, męczeńskich wysiłków, a kto rozkoszy tej drogi nie zaznał, niegodzien jest być „wolnym“, niegodzien przynależyć do narodu.

A, aby mieć z czego jak najbogatszą ofiarę czynić, uczył Polaków Szczepanowski, uczył Polaków wielki praląt Wawrzyniak, jak z jednego talentu — **dziesięć się pomnaża.**

Kto tego nie pojmuje, że wszystko, cokolwiek czyni, ofiarę ma na celu, nie godzien jest tego świętego „MY“ i winien jest hańby, na którą Gedeon, gdy już drwami, wysieczonemi z świętego gaju, spalił Cielca Baala, skazał rzeszę, naokół niego zebraną, **gdy miał Izrael oswobadzać:**

Zebrało się trzydzieści dwa tysiące narodu, a, gdy z tych odpędził bojaźliwych tchórzów, nikczemnych, małodusznych i plugawemi namiętnościami skażonych, zostało mężów „wolnych“ — trzysta...

A ponieważ ten jeden talent potęgą organizacyjną prałata Wawrzyniaka istotnie dziesięciokrotnie się pomnożył, więc „Ostoja“ — tym razem już nie Spółka Wydawnicza, ale ucieleśnienie posłanniczej IDEI polskiej, pragnącej się na zewnątrz ujawnić w wielkim czynie, wyciąga ramiona ku tej przyszłości, w której ma się dokonać ten cud, że powstanie — NASZ DOM!

„Ons huys“ „nasz dom“ — czytamy w programie „Ostoi“ — wyryto złotemi głoskami na frontonie wspaniałego gmachu, jaki robotnicy flamandcy dla siebie wystawili i z dumą go cudzoziemcowi w Gandawie pokazują — oby nadszedł ten czas, kiedy Poznańczyk będzie mógł wskazać na „Ostoję“, jako na nasz „Ons Huys!“

Najkosztowniejszym wytworem onego tajemniczego związku między jednostką, a całością, wyobrazającą IDEĘ tych jestestw, IDEĘ, że „jeszcze Polska nie zginęła“, jest nasza bogata kultura i sztuka, jedyna trwała rękojmia naszego istnienia, jedyna podstawa naszego Bytu narodowego, bez której nie byłoby już śladu Polaka na ziemi.

Z chwilą, gdy Polak traci łączność z swoją kulturą, w najrozciąglejszem znaczeniu tego słowa, gdy staje mu się obojętną, albo inną nad nią przenosi, przestaje być Polakiem, wynaradawia się, staje się odszczepieńcem.

Nieliczna garść Polaków, którzy zniemczeli, zmoskwiczyli, lub przeważnie zfrancuzieli, prawie cała nasza wielka arystokracja, która ma tylko tyle wspólnego z Polską, że ma w posiadaniu wielkie obszary jej ziemi — to wszystko ludzie, dla których kultura polska nie była dostępną, jak większej części tych rodaków, którzy są zmuszeni stale za granicą przebywać i z obcym żywiołem się łączą — albo też ci, którzy jej bogactwa nie znają, głębi jej nie pojmują, a w głupim zaślepieniu jej wartość za nic sobie mają.

Nie przez utratę ziemi groził Wielkopolsce doszczętny zanik narodowości polskiej, ale przez obojętność, ospałość tej na największe niebezpieczeństwo wynarodowienia zagrożonej dzielnicy w sprawach, tyjących sztuki i kultury narodowej.

I na cóż Wam się zdadzą banki, spółki zarobkowe, na cóż ten szybki przyrost Waszego majątku i Wasz cały dobrobyt materyalny, jeżeliście zapomnieli o testamencie duchowym waszych proroków, poniechaliście domierzać ich posłannictwa?!

„Począwszy słomę, urodzicie mierzwę: duch wasz Was pożre jako ogień — i będzie naród jako wypalone wapno, będzie jako cierń wycięty, ogniem spalony!“

Czytajcie Jezajasza!

Zrozumieli to ci „wolni“ ludzie, dzielni potomkowie żołnierza - legionisty poznańskiego z 1831 r., w których tradycja cudu żyje i przedzierzgnęli się w budowniczych — zrozumieli, że „póki nie będzie wylany na nas duch z wysokości, a nie obróci się pustynia w urodzajne pole, a pole urodzajne za las poczytane nie będzie“ — tak długo zawisła nad Wielkopolską straszna klątwa wynarodowienia.

A pustynią jest najurodzajniejsza gleba, którą Duch Narodu odbiegł, ciemnym lasem urodzajne pola, na którym zgasło światło, płynące z duszy narodu, a światłem tem, jedynem słońcem, w którym naród, jako taki, bytować może, to jego kultura i Sztuka.

Czytamy dalej w programie:

„Odparciem stanie się „Ostoja“ na wszelkie zarzuty, odpowiedzią na wszelkie pytania“ (— zarzuty niejednego tylko Brodzińskiego i zawarte w nich pytanie: „Coście zrobili dla wzbogacenia ducha narodu? —) „latarnią morską na wrogim cyplu skał wśród odmętów szalejących burz, które się o nią rozbijają i rozbić **muszą**, dopóki ona niewzruszona stoi i na całą Polskę **swe światło rozlewa**.“

Z tych końcowych słów programu przebija już jasno cel, jakiemu „dźwigająca się z skromnych zaczątków budowa“ ma służyć.

Z ksiąg Pisma Świętego jedna z najpiękniejszych, to wtóra Ezdraszowa (księga Nehemijasz):

„Pójdźcież, a budujmy, abyśmy nie byli więcej na hańbę!“ woła Nehemijasz — „Wstańmyż, a budujmy!“ odpowiedział rząd dusz „i wzmocnili ręce swe ku dobremu!“

A byli tacy, którzy z nich szydzili i lekce ich sobie wazyli: „Cóż to za rzecz, którą czynicie?“ rozległ się śmiech szyderstwa i kpin.

Odpowiedział Nehemijasz:

„Bóg niebieski, ten nam poszczęści, a my służyć jego wstańmy a budujmy; ale Wy nie macie działu, ani prawa, ani pamiątki w Jerozolemie.“

I tak budowali jedną ręką mur, a drugą dzierzyli miecze — coraz więcej szydzili małoduszni, a łupieżcy zbroili się do napaści, bo zrozumieli, że ten mur, to początek nowej potęgi, ale oni na nic nie zważali, tylko budowali „od wejścia zorzy, aż gwiazdy zachodziły.“

I stanął wielki gród murowany: nieprzyjaciół serce upadło.

„O Jeruzalem, Jeruzalem słowiańska! woła Słowacki — rozbitą jesteś jako naczynie garncarza. Stałaś na miejscu, jako morze bez fali, zasypiałaś jako trumny ołowiane; gdzie była praca i kuźnia nowych myśli, nie było Cię!“

— Jesteśmy! odpowiada to szczuple grono obywateli, żołnierzy-budowniczych — tych „trzystu“, którzy kamień węgielny pod wielką budowę położyli.

„Przyszedłem w nocy cichej z matką moją, abym Cię pożegnał, idącą do mogiły — przyjdę w noc piorunową, abym Cię widział zmartwychwstającą i powitał. —“

— Gotowi jesteśmy na Twoje, Królu-Duchu, przyjęcie i witamy Cię w pokorze! odpowiada rząd onych „trzystu“: rząd żołnierzy-budowniczych.

Co za cudowna wizja!



Czyżby tylko wizja?!

Kroniki budowy katedr średniowiecznych opowiadają, jak to cały lud zabierał się w świętej pokorze i gorliwości do budowy swych świątyń: Kto miał jakąś szkapinę, wozil latami całemi kamienie pod budowę; ci zaś, których nie było stać na inną ofiarę, dźwigali na swoich spracowanych ramionach wory z piaskiem — tamci znowu w nieprzeliczonych szeregach znosili cegły i materiał budulczy — kobiety przynosiły w ofierze swoje klejnoty i kosztowności — niejeden magnat ofiarowywał cały swój majątek, by przyspieszyć budowę świątyni, której piękność jeszcze za swego życia oglądać pragnął: wszystko, co żyło i zdolne było do pracy, zaciągało się w szeregi najzarliwszych robotników, a nawet kaleki, starcy i drobne dzieci wspomagali pracę modłami i podnoszącym śpiewem.

I do tej świętej, natchnionej pracy powołuje „Ostoja“ „wolnych“ ludzi — do budowy świątyni, w którejby Dusza Narodu godny przybytek znaleźć mogła, do budowania pomnika dla swej miłości ku temu, co stanowi rdzeń życia narodu: miłowania kultury i Sztuki polskiej — jedynego pomnika, który istotnie świat cały zdziwi — niespożytą siłą, hartem i godnością jego budowniczych.

I znowu znamienny rys tego żołnierza Poznańczyka, z 1831 r., którego nam Kaczkowski opisuje:

Kraków ma swoje groby zasłużonych, umie inscenizować wspaniale pogrzeby, jak żadne inne miasto polskie.

Warszawa popisać się może, że wzięła rekord co do ilości najzażarciej z sobą zwalczających się stronnictw politycznych:

Poznań buduje!

Kraków, Warszawa, nawet Lwów wystawiają kosztowne pomniki Mickiewiczowi, które przerażają wprost swoją bezecną banalnością: Poznań, który posiada mały, skromny pomniczek Mickiewicza, ale przerastający o całe niebo pod względem artystycznym te „rastaquouèr“skie

dziwołagi Lwowa, Krakowa i Warszawy — buduje teraz swój pomnik, którego kamieniem węgielnym: „Ostoja.“

Poznański żołnierz-legionista Kaczkowskiego stał się teraz skromnym, ale sumiennym, ofiarnym, o ważności swej misji gorąco przeświadczonym robotnikiem i budowniczym zarazem.

A zespół onych „MY“, którzy żyją i Polsce zginąć nie pozwolą — tych „MY“, którzy są narodem i wiedzą, że, aby mieć to wielkie szczęście przynależenia do tego „MY“, trzeba wykonywać testamenty duchowe naszych proroków i domierzać miarę ich posłannictw, mają prawo odezwać się do tych, którzy się ociągają lub pracy na przeszkodzie stoją, „że nie mają działu, ani prawa, ani pamiątki w Jeruzalem“, że nie są według słów Świętochowskiego patriotami, ale „gorylami, które biją się w piersi i wrzeszczą, co bynajmniej nie znaczy, że bronią lasu, w którym wraz z stadem obrywają orzechy i owoce.“

Ci dojrzeli „do wydania ich na łup niewoli w obcej ziemi i pohańbienie na głowy ich obrócone zostanie.“

Znajdą się zapewne i tacy, którzy z szyderstwem i kpinami powiedzą: „Cóż ci szaleńcy czynią, iżali tego za jeden dzień dokończą? Iżali wskrzeszą kamienie z gromad gruzu, które spalono?“ i z dobrodusznym uśmiechem poironizują tacy, którzy powiedzą: „Niech budują: jednak, gdy przyjdzie liszka, przebije ich mur kamienny“, ale — mimo wszystko — wierzę! — Poznań będzie mógł — może niezadługo o sobie powiedzieć:

„A ty Betlehemie, żadną miarą nie jesteś najpodlejsze między księstwami Judzkimi.“

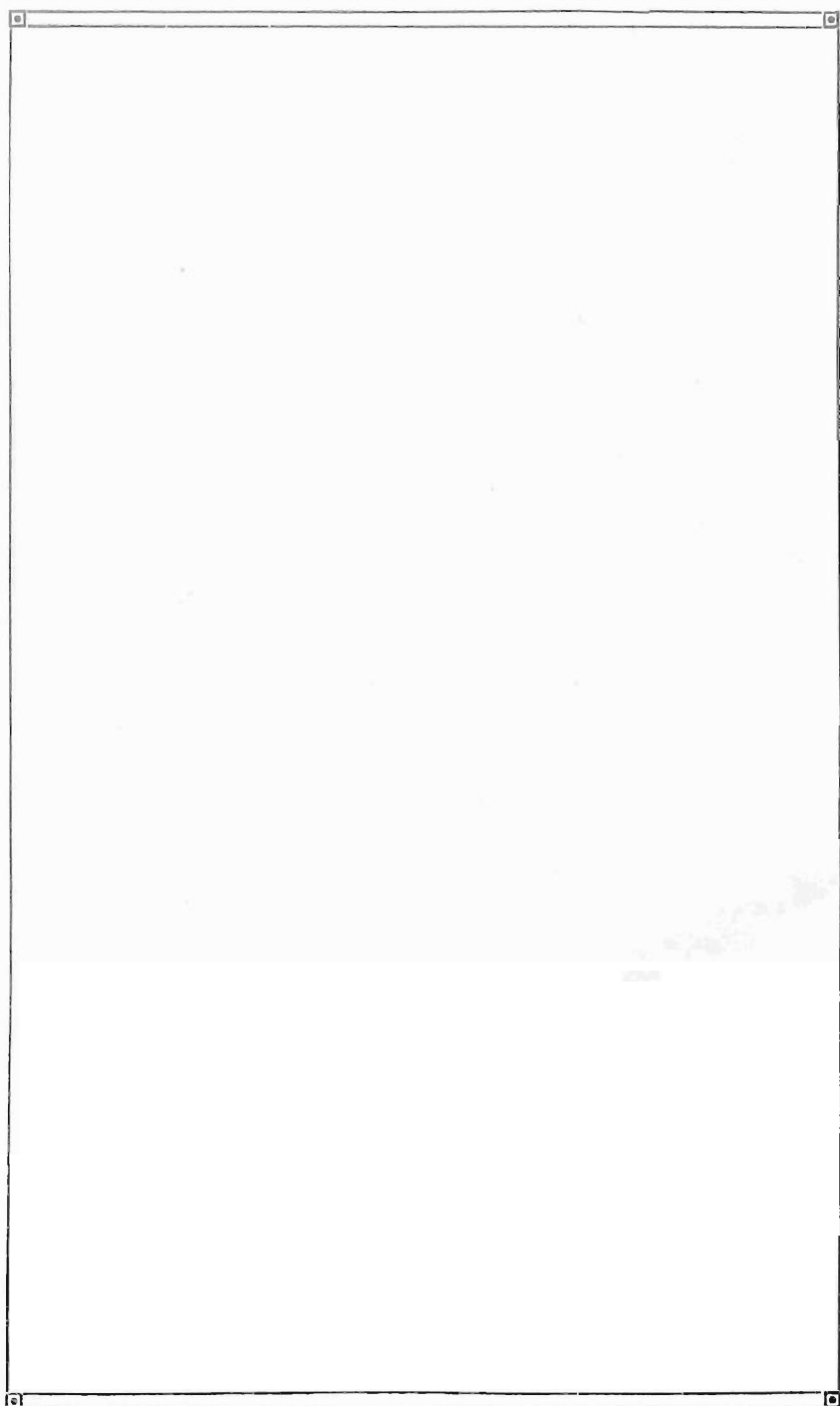
Snem to i rozkoszną wizją dotychczas, ale jej urzeczywistnienie zależy od tych „trzystu“, z których na każdego z osobna będzie można wskazać:

„Patrzcie, co ten jeden człowiek może, gdy gwiazdą — duchem się na światła kirze zapali!“ — od tych trzystu

zależy spełnienie tego cudu, tych trzystu, w których serc hartowny śpiż uderzał Mickiewicz :

— Ojczyzna w Was jest! Ile podniesiecie ją w sercu Waszem, tyle przysporzycie jej praw i jej granic!...

Uderzył, a dzwon tych serc rozbijał się i rozkołysał i gromki, radosny hejnał rozlał się na całą Polskę...



**TRADYCJA CUDU OBJAWIO-  
NA W CZYNIE. ROZSZERZE-  
NIE I POGŁĘBIENIE PRO-  
GRAMU „OSTOI”: „ZDRÓJ”.  
VIGILANTIS SOMNIA. „ONS  
HUYS“.**

**P**owtarzam to, com już w przeszłym rozdziale wypowiedział: „Twierdzi Mickiewicz, że żołnierz — dla którego nieraz jedynym pokarmem jest słowo i innego posiłku nie ma, prócz gromkiego, do głębi wstrząsającego go Hasła — zachował żywą tradycję C u d u“.

I istotnie nie myli się jasnowidzący wieszcz: „Żołnierz“ poznański, który z tak żelazną wytrwałością, z takim zdumiewającym hartem duszy walczył i walczy, wprawdzie od pół wieku na bezkrwawym terenie, ale nie mniej znojnym i obfitym jeszcze w wszelakie męczarnie i utrapienia duszne, aniżeli mógłby być nim teren nawet najkrwawszej bitwy, zachował głęboko w swej piersi tradycję C u d u:

Słowo-Hasło: „Poznań - Ostoją“ wstrząsnęło nim do głębi, spotęgowało niepomniernie jego siły, rozbudziło w nim gorącą ofiarność i tak się stało, że tradycya Cudu przeobraża się w Cud-Czyn.

Urzeczywistnieniem tradycyi cudu było stworzenie wspaniałej instytucji obywatelskiej „Ostoi“, w swych początkach spółki wydawniczej, a większym jeszcze może cudem, bo bez porównania w wykonaniu trudniejszym, to przedsięwzięcie wydawania w Poznaniu dwutygodnika,

poświęconego sztuce i kulturze umysłowej w Polsce, ściśle z „Ostoją“ związanego.

„Pismo nasze, czytamy w prospekcie, omawiającym zadanie, jakie ten dwutygodnik, „Zdrój“, ma spełnić, postanowiliśmy wydawać w Poznaniu. To nie lokalny patryotyzm, który wpłynął na to postanowienie. Tego rodzaju pismo, poświęcone wyłącznie Sztuce i kulturze umysłowej, ma w Poznaniu całkiem inne, nierównie głębsze i ważniejsze znaczenie, aniżeli w Warszawie, Krakowie lub Lwowie.

„Pół wieku minęło, odkąd ta, po 1831 roku bogata, gorącemi prądy pieniąca się Warta życia umysłowego w Wielkopolsce z wolna tracić jęła swój hulaszczy niemal rozmach, toczyła się coraz wolniej, aż wreszcie stała się podobną onej stojącej rzece, o której Cezar pisze, że niewiadomo w którą stronę płynie.

„Z czasem zatraciła się wielka tradycja onego lat dziesiątka, kiedy to Poznań był magnacką ostoją dla wszystkich rozproszonych i rozbitych sił umysłowości polskiej, jej ośrodkiem i metropolą.

„Otóż ważnem zadaniem naszego pisma to właśnie to, by wskrzesić do nowego życia chlubną tradycję Poznańskiego między 1839 a 50 r. i w tej nieszczęsnej dzielnicy Polski, która bez porównania najwięcej i najpoważniej kulturalnie — (mówimy o kulturze duszy polskiej) — jest zagrożoną, rozbudzić gorące życie umysłowe, zadać kłami niechętnym i zrażonym rodakom z innych dzielnic — którzy już oddawna twierdzą, że Wielkopolska nie bierze żadnego udziału w życiu umysłowem Polski, najtęższą swą inteligencją, swoje „Ver sacrum“ ma na eksport — wzniecić zapał i miłość do Sztuki która w obecnych warunkach jest jedynym, gromkim i płomiennym protestem w obec odmawiania nam praw narodowych i uroczystem potwierdzeniem naszej niespożytej siły narodowej, zadzierżnąć wreszcie silne węzły duchowe, dotąd niestety zbyt luźne, z Królestwem i Galicyą.

Tu już program „Ostoi“ niepomierne się rozszerza i pogłębia.

Z spółki wydawniczej przekształca się „Ostoja“ w istotne ognisko współczesnego życia duchowego w Polsce, rozściela przed znękanem i uciskanem społeczeństwem zjawę jego rzeczywistej potęgi, wykreśla dla niego szerokie horyzonty, które ma mocą swą i ofiarnością ogarnąć i zniewolić całą „Europę“ do najgłębszego szacunku i podziwu, wskazuje mu źródła jego rzeczywistego bogactwa, buduje dlań podwaliny jego istotnego Bytu, którego ogień nie spali, ani rdza nie zeżre.

Piękne i mocne słowa wydawców, a raczej głównego wydawcy: Jerzego Hulewicza, dołączone do prospektów „Zdroju“, w którym wyczerpująco wyjawnione zostało zadanie i kierunek pisma, dają miarę, z jakim, najgłębszego podziwu godnym dostojeństwem, powagą i w daleką przyszłość wyteżonym wzrokiem, „Ostoja“ — („Zdrój“ wychodzi nakładem Spółki Wydawniczej) — swe posłannictwo pojmuje i je wykonać pragnie.

Ta odezwa wydawców stoi w tak ścisłym związku z pierwotnym programem „Ostoi“, że jest tylko jego pogłębieniem i rozszerzeniem: na podwalinach świętego grodziszcza Myśli Polskiej w Poznaniu wznoszą się już mury i bastiony, dźwiga się z zdumiewającą szybkością wspaniałych gmach, królewski Beffroi Poznania, jakiego żadne z najbogatszych miast Flandryi nie posiada i odezwę tą dają tu w całości, aby cały plan, jaki „Ostoja“ dla całej swej działalności nakreśliła, jak najwyraźniej się uwypuklił, a książka moja stała się jak najwierniejszem odbiciem jej usiłowań:

„Ubogim jest człowiek, który nie sięga po bogactwo życia. Pełnię zaś jego i istotne bogactwo znaleźć może li tylko w Sztuce.

„Dopóki Sztuka ogółowi jest obcą i obojętną, uważaną za coś zbytkownego, co do życia nie jest bezwzględnie koniecznem i bez czego obyć się można, tak długo

pozostanie on ubogim, to znaczy pozbawionym istotnej treści życia i jego bogactwa.

„To, cośmy dotychczas przywykli uważać za Sztukę to on biblijny „talent“, przekazany nam przez naszych wielkich wieszczów i twórców: myśmy go zakopali, nie troszczyli się o jego pomnożenie, a jeżeli się pomnażał, jeżeli dziś Sztuka Polska sięga wyżyn sztuki wszechświatowej, to nie dzięki usiłowaniom społeczeństwa, które się z niechęcią, a nawet wrogo do nowoczesnej sztuki odnosiło, ale przeciwnie: wbrew i mimo jego woli.

„A przecież właśnie ta nam współczesna sztuka jest niepomierne pomnożeniem onego „talentu“. Wiedzą o tem u nas niestety tylko jednostki, zwolna uczy się oceniać wartość naszej Sztuki nawet ta niechętna nam „Zagranica“ — ona „Europa“, do której się bezustannie z lękiem i trwogą zwracamy, ażali nas widzi i słyszy, ale całemu społeczeństwu nie uświadomiła się całkiem ta wielka prawda, że największem bogactwem narodu, jedynym czynnikiem, który „Europę“ do najgłębszego szacunku zniewala to: Sztuka!

„Czem ujarzmiły zmiążdżone Ateny zwycięski Rzym, jeśli nie sztuką? — Ktoby coś wiedział o jakimś biednym szmacie Europy, który się Norwegią nazywa, gdyby nie jej bogata Sztuka? O niesłychanej doniosłości Sztuki wiedział nasz pobratymczy naród czeski, gdy mu się wdomowym groszem wystawiony teatr narodowy w przeddzień inauguracyi doszczętnie spalil: w przeciągu trzech tygodni zebrali Czesi ofiarną składkę: potrójnie pierwotny kosztorys przenoszącą sumę, która umożliwiła wystawienie obecnego wspaniałego „Narodni Divadlo“ w Pradze.

„Tylko dla nas jest sztuka czemś, nad czem „fachowa krytyka“ bezlitośnie się znęca, a w najlepszym razie luksusem, na który sobie magnaci — lub też dorobkiewiczze pozwolić mogą.

„Dla narodu bez bytu politycznego ma Sztuka jeszcze całkiem inne znaczenie i całkiem inną doniosłość, aniżeli



dla narodów wolnych. Dla nas jest ona stokroć razy większym bogactwem, aniżeli cały nasz dobrobyt materialny, choćby i najpomysłniejszy, bo przez nią tylko światu okazać możemy, że istniejemy, że nie przestaliśmy być narodem, że przeciwnie, jeżeli kiedykolwiek, to właśnie teraz wzmógł się nasz naród przez swoją Sztukę do wyżyn prawdziwej Potęgi.

„Nasza Sztuka jest najpotężniejszym symbolem naszego Istnienia, najwięcej płomiennym protestem przeciw naszej niewoli, świętem „Amen“ naszego Bytu.

„Jeżeli chcemy raz wreszcie przestać być dla Europy tą fatalną „quantité négligeable“ jaką — nie ludźmy się — dla niej byliśmy i jeszcze jesteśmy, to wszystkie siły nam wyteżyć należy, by naszą przebogatą Sztukę najgłębszą czcią i miłością ogarnąć i postawić ją na tej wyżynie, na którejby już dawno stać mogła, gdyby społeczeństwo całe zrozumiało, jakim olbrzymiem bogactwem, jaką przepiękną dźwignią naszego Bytu jest nasza Sztuka.

„Wielcy nasi poprzednicy: Maksymilian Jackowski i ksiądz Wawrzyniak stworzyli podwaliny naszego dobrobytu materialnego. Ich ślady idąc kładziemy stworzeniem tego pisma węgielny kamień pod budowę gmachu naszego istotnego bogactwa, które społeczeństwo nasze zdobyć może tylko przez Sztukę i umysłową kulturę.

„Ufni w świętość i wielkość tej sprawy, której wszystkie nasze siły poświęcić pragniemy, mamy tę niepłonną nadzieję, że społeczeństwo polskie przyjmie pismo nasze chociaż w części z tą zyczliwością i zapalem. z jakim je powitało grono najwybitniejszych naszych twórców i w współpracownictwie jego gorący udział przyrzekło.“

Nie wiem, czy kiedykolwiek w ubiegłym półwieku powiało takie mężkie „pokrzepienie ducha“, takie gorące tchnienie na Polskę, takie silne przeświadczenie o jej mocy i niespożytej sile, takie gromkie przypiecztowanie dumnej świadomości, że Polacy są narodem, który w rządzie najprzedniejszych narodów może osiąść przednie

miejsce, i posiąść je powinien, jak z tych prostych jędrnych, a tak niezrównanie bogatych, i najgłębszą miłością dla Polski natchnionych słów.

To też wszyscy współcześni twórcy polscy bez wyjątku — a ani na chwilę nie wątpią, że śp. Henryk Sienkiewicz stanąłby z głęboką radością na ich czele — powitali zapowiedź „Zdroju“ z radością, która z gorącym uniesieniem graniczy — przecież jeszcze przed rokiem zadnemu z nich się nie śniło, by właśnie w Poznaniu mogłoby powstać pismo, któreby się mogło pokusić o skupienie w sobie wszystkich i to najtęższych sił umysłowych, zogniskowania ich w jednym najgorętszym i żarliwym pragnieniu, by jaknajusilniej pracować nad odrodzeniem życia umysłowego w Poznańskim, a Poznań sam dźwignąć na wyżyny najprzedniejszej strażnicy Myśli Polskiej.

Współdział twórców tej miary, co Jan Kasprówic, Edward Porębowicz, Zdzisław Dębicki, Stefan Żeromski, Wacław Berent, Kazimierz Tetmajer, Władysław Reymont, Zenon Przesmycki, Michał Sobeski, by tylko tych wymienić, z którymi „Ostoja“ w czasie wojny porozumieć się mogła — to nie tylko godne współpracownictwo w „Zdroju“ — to silny sojusz duchowy, jaki ci najprzedniejsi twórcy w Polsce z „Ostoją“ zawarli i jej gorącą pomoc przyrzekli w głębokiem przeświadczeniu i zaszczytnem uznaniu niezmiernej doniosłości tej misji, jakiej się „Ostoja“ podjęła.

A może nikt głębiej odemnie nie wierzy w moc „żołnierza“ poznańskiego, który nosi w sobie „tradycję Cudu“ i Cud ten istotnie urzeczywistnić zdoła.

Przecież **tak** niedawno temu dokonał już w innej dziedzinie tego cudu prawdziwy „żołnierz“ poznański, którego nieśmiertelny prawzór generał Kaczkowski potomności przekazał: wielkiej i świętej pamięci ksiądz Wawrzyniak.

Ta wiara moja spowodowała mój obecny zarys działalności „Ostoi“ i tą niezłomną wiarą żyję, że „Ostoja“

stanie się istotnie tem, czem w programie swoim stać się obiecuje :

Macierzą prawdziwą dla myśli polskiej, latarnią morską na wrogim cyplu skał wśród odmętów szalejących burz, Araratem, na którym skołatana arka duszy narodu w dumnej chwale osiadzie i może już w niedalekiej przyszłości wspaniałym „Domem Naszym“.

„Ons Huys“! Ten niepokojący, bolesny, a tak przebogaty sen ubogiego człowieka!

Dreńczy mnie ustawicznie i spokoju mi nie daje, a jednakże nie chciałbym się za nic go pozbyć, a jest-ci on mi największem pokrzepieniem w wszelakiej udręce, najsilniejszym bodźcem do życia w wszelkim upadku ducha.

Jak ja sobie wyobrażam ten „Nasz Dom“?

Posłuchajcie :

Pisze Jerzy Hulewicz w swojej odpowiedzi na artykuł: Co robić?, że „Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych“ stało się poważną pomocą dla artystów całej Polski, że społeczeństwo Wielkopolskie coraz gorliwiej popiera wysiłki tej organizacji, że zdołało już kilkoma dziesięć tysięcy marek rocznie przyjść z pomocą artystom naszym.“

Czyżby nie można połączyć działalności tego Towarzystwa z „Ostoją“ i zadzierzgnąć między jedną i drugą instytucją jak najściślejszych związków — a „Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych“ stałoby się jedną sekcją działalności „Ostoi“?

Teatr polski w Poznaniu stał i stoi — pominąwszy krótki a niezmiernie cenny i ważny okres dyrekcji Szczurkiewiczów — na niemożliwie, niskim poziomie, urągającym najprostszemu wymogom jakiegokolwiek społeczeństwa, która sobie prawa do kultury rości — czyżby „Ostoja“ nie mogła się zająć reformą teatru poznańskiego? stawić go na tej wyżynie, na której magnacka ofiarność ś. p. Tadeusza Pawlikowskiego teatr krakowski postawiła? Nie mogłaby stworzyć małej sceny, w którejby przed oczyma zdumionego widza mogło przesunąć się przed oczy

to wszystko, co ma rzeczywiście z sztuką dramatyczną wspólnego?

A działalność „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“, o którym społeczeństwo raz po raz tylko się z sprawozdań „Dziennika“, lub „Kurjera Poznańskiego“ dowiaduje, jakby się niesłuchanie rozwinąć mogła, jak głęboko wniknąć w społeczeństwo, stać się jego istotną potrzebą, gdyby się zlało z „Ostoją“ w jedną potężną organizację narodową! Przecież to Towarzystwo, któreby mogło być żywą i nieskończenie doniosłą instytucją dla życia społeczeństwa, jest obecnie w swych skostniałych formach czemś, co poza jego obrębem żyje, jako zamknięte kółko garści inteligencji.

A czyżby tak trudno było zorganizować szereg koncertów, w których możnaby ujawnić rozwój muzyki polskiej, poczynawszy od Gomulki aż do Karłowicza, Szymanowskiego, Różyckiego?

Wszystko razem: jedna silna, potężna „Ostoja“ taka, jaką tylko żołnierz-Poznańczyk, gdyby zechciał, wybudować może!

Nasz dom — „Ons Huys“ — o ten przedziwnie piękny, a takim bolesnym niepokojem dręczący sen ubożego człowieka!

Mieć milion! Móć się przyczynić do zbudowania tego „Ons Nuys“, prawdziwego warownego grodziszczą Duszy Polskiej w Poznaniu — własnego gmachu „Ostoi“ z własną drukarnią, któraby setkę dzieł polskich rocznie drukować mogła z wszystkich dziedzin życia umysłowego Polski, własną księgarnię — pomieszczeniem dla redakcji „Zdroju“ salą koncertową, małą sceną, któraby szeregiem wzorowych przedstawień teatralnych publiczność pouczyła, czego ma prawo wymagać od teatru polskiego — obszerną bibliotekę, w którejby można znaleźć peryodyczne czasopisma wszystkich narodów, a zasobną w dzieła najwybitniejszych współczesnych twórców europejskich!

„Nasz dom“ — dom „Ostoi“ z salą posiedzeń dla Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Sztuk Pięknych z obszernymi salonami dla wystaw obrazów i dzieł plastyki wszystkich artystów polskich i zagranicznych:

Ale dosyć już, dosyć!

Vigilantis somnia!

A jednakowoż uporczywie i zawzięcie wierzę w moje sny.

Bruno Wille, filozof i poeta niemiecki przytacza w swoim dziele „Philosophie der Befreiung“ piękną parabolę:

„Na bloniu usiadło gwarliwe stado wron. Żartowniś jakiś opowiedział właśnie historię o owej wronie, która się ustroiła w pawie pióra. Całe zgromadzenie śmiało się do rozpuku:

„A to głupia! Dobrze jej tak, że ją rozszarpano. Dlaczego chciała być czemś więcej, jak inne wrony?“

Z surowem spojrzeniem przysłuchiwała się jedna stara wrona tej paplaninie.

„Posłuchajcie innej pouczającej historii“, rzekła. „Była sobie raz jaszczurka, która chciała być czemś innym, jak jej rówieśnice, czemś całkiem, a całkiem innym. Chciała być ptakiem“.

Ha! ha! słuchajcie! słuchajcie!“ zaśmiały się wrony: „jaszczurka zwaryowała i chciała zostać ptakiem! I cóż się stało z tą megelomanką?“

Spokojnie i poważnie odpowiedziała stara wrona:

„Co się z nią stało? Została ptakiem, pierwotakiem, archeopteryxem, od którego wszystkie mamy zaszczyt pochodzić“.\*)

Otóż i wemnie siedzi ta stara wrona, która jak najmocniej wierzy, że z przyziennego jaszczurczego gadu

\*) „Podobieństwo idei tej przypowieści dla „Genezis z Ducha“ Słowackiego jest bardzo widoczne“ dodaje do tej paraboli Pawlikowski w swym niezwykle cennym dziele: „Mistyka Słowackiego“.

mógł powstać jakiś archeopteryx, praojciec niesłuchanie bogatej przyszłości — jakiś mityczny Phoenix, który w własnym ogniu się spalił, by się w nowej chwale i potędze odrodzić.

Stara wrona kracze bezustannie w mej duszy, że z myśli, które dziś jeszcze uznane są za godne poszarpania, wyśmiania i wyklęcia, może powstać ten rzeczywisty cud, którego tradycya w piersiach żołnierza-Poznańczyka żyje.

Uporczywie i zawzięcie wierzę w możliwość spełnienia się mego snu.

Wierzę, bom poznał jednostki w Poznańskim — wprawdzie tylko nieliczne jednostki, ale nie wątpię, że jest ich więcej, o których powiedzieć mogę to najświętsze, co o człowieku powiedzieć można:

Inni dają z swego nadmiaru — ale ci dają wszystko, całą miarę i nadmiar. Inni dają to, co zgarną strychnulcem z przepelnionego korca. Ci zaś dają cały korzec i jego ogromny czub. Inni mielią żyto, a oddają plewy — ci zaś oddają mielone ziarno, a plewy rozsypują na wszystkie wiatry, bo się ich wstydzą.

I ci „wolni“ stworzyli podwaliny „Ostoi“ z jego „Zdrojem“ — czyżby Ci „inni“ nie mogli dać tego, co zgarną strychnulcem? Czyżby w Poznańskim ś. p. Józef Kościelski miał być ostatnim z magnatów?

A stara wrona kracze mi pocieszająco w mej duszy, że w tym czasie, w którym nadszedł czas żywota dla żywota silnych, znajdzie się magnat, któremu się uświadomi podniosła dostojność, obowiązek i posłannictwo, związane z tą szczytną nazwą, że nie zechce być i nadal „gorylem, który się bije w piersi i ryczy, że broni lasu, w którym obrywa orzechy i owoce ze swoim stadem!“

Małej ofiary z „nadmiaru“ potrzeba, zgarniętego czuba z przepelnionego korca, a „Poznań-Ostoja“ — dziś jeszcze Chimera — jutro stanie się płomienną, olśniewającą Rzeczywistością!

**ZAKOŃCZENIE:  
ZEW DO NOWEJ „MŁODEJ  
POLSKI“: DO JEJ ŻYWEJ,  
WIDZĄCEJ WIARY.**

Czyżby nie czas wreszcie zaprzestać ubożuchnych manifestacji narodowych przez obchody jubileuszowe, stawianie fatalnych pomników, które — gdyby nie było innych dzieł — najsmutniejsze świadectwo rzeźbie polskiej wystawiłby **musiały** — przecież dosyć już tych obchodów, uroczystości, jubileuszów, odświętnym zapalem **wywolywanych** przysięg i ślubów, z **których** ani jeden **spełniony** nie został — naród **wyzbyty** bytu politycznego **czem** innym, jak chorągiewkami, **śpiewem** i „imponującymi“ **po**chodami powinien swe **istnienie zaznaczyć**.

Cóż nam przyniosła z takim niesłychanym aplombem przygotowana i tak niezmiernie kosztowna rocznica Grunwaldzka?

Pomnik dęta A. Wiwulskiego, który ponoć pół miliona franków kosztował — parę jeszcze takich pomników, a człowiekowi z jaką taką kulturą artystyczną pobyt w Krakowie zostanie uniemożliwiony i — risum teneatis: dwieście tysięcy koron funduszu grunwaldzkiego dla Towarzystwa Szkoły Ludowej — a „ślubowano“, że z łatwością znajdą się dwa miliony! A takeśmy się strasznie odgrzązali, że całej Europie „zaimponujemy“ naszym „obchodem“ grunwaldzkiej rocznicy!

„Względy polityczne“, a może też i inne nie pozwalały na szczęście polskiemu Poznaniowi, wyrzucać publicz-

nego grosza na budowanie pomników, jakieby mogły być ozdobą jakiegoś Valparaisu, albo Buenos-Aires, lub też podwórza pałacowego jakiegoś księcia Dahomeju — skromny pomniczek Mickiewicza w Poznaniu o całe niebo przewyższa artystyczną wartością potworną kolumnę Mickiewiczowską w Lwowie, rachityczny dziwoląg w sprośny sposób niszczący piękność Sukiennic w Krakowie, niedołężny mastodon, mający wyobrażać jednego z najpotężniejszych wieszczów, jakimi ludzkość pochłubić się może — w Warszawie.

Poznań buduje swój pomnik: wielki w swej olbrzymiej powadze, „aere perennius“ przeświadczeniem granitowej potęgi Duszy Polskiej i niczem niezmożonej jej siły — święty dostojny pomnik dla swej własnej mocarnej, dumnej, wielkopańskiej „Europy!“

Polska, która przez tak długi czas była „pawiem i papugą narodów“, darła się w niebogłosy przy każdym podjętym czynie, chociażby był on tylko najgłupszym obchodem i podniecała się hasłem: „Europa na nas patrzy!“

Co za dziecinna, lokajska próżnostka!

Zanosi się na to — czyżbym, w gorącym pragnieniu, urzeczywistnienia mych snów, miał już całkiem na jawę być ślepym? — zanosi się na to, że nowa generacja Polski nie p o z a s o b ą szuka tej „Europy“, ale w dumnym, magnackim przeświadczeniu swej mocy — w sobie samej — w s o b i e s a m e j szuka tego świata, który Mickiewicz pragnął swoją Polskę zadziwić!

Zanosi się na to — przecieram oczy i trudno mi wierzyć w zaranie tego cudu — że Polska wyprostuje swój kark, zgięty lokajskim antyszambrowaniem po wszystkich kątach „Europy“ i z pańskim dostojeństwem wskaże na siebie: Europa?! Europa to Ja! Ja, który Polskę w sobie noszę, ja jestem tem samem Europą!

A stać na to tę zdumiewającą zjawę, która mi się przed oczyma majaczy: onego żołnierza - Poznańczyka, jakiego nam Kaczkowski namalował, stać na to „wolnego



człowieka“, którego w natchnionem jasnowidzeniu Mickiewicz ujrzał, stać na to garść budowniczych, onych „trzystu“, o których z taką przedziwną pięknnością Nehemiasz pisze.

Dostojny i ofiarny zastęp „wolnych ludzi“, „żołnierzy-budowniczych“, świadomych tradycji „cudu“ zaskoczyło na walnem zebraniu „Ostoi“ zdumiewająco-naiwne, nieskończenie śmieszne w swej bezradności pytanie: „Kto „Ostoję“ upoważnił do tej akcji?“

Oczom nie chciałem wierzyć, gdym czytał sprawozdanie z tego walnego zebrania — a potem wybuchnąłem serdecznym śmiechem.

Kto upoważniał?! Polska, Polska, którą w duszy swej i sercu każdy istotny, „wolny“ Polak nosi — „Europa“, którą każdy żołnierz Polak w sobie odnalazł — ten ogrom świata w nim samym, którą kochające dziecko swoją świętą matkę zadziwić pragnie — to upoważniło grono ludzi-założycieli „Ostoi“ do tej akcji „samozwańczej.“ Na ten święty nakaz nie trzeba, ani się nie godzi szukać pozwolenia, by go wykonać.

I ten sam święty nakaz upoważnił mnie, Przybyszewskiego, na wpół banitę, „poète maudit“, z którym „społeczeństwo“ nie potrzebowało się liczyć, bo mu się nigdy żadnymi objawami „patriotycznej akcji“ nie narzucał. do napisania tej książki: jestem przygotowany na tysiąc i jeden jadowitych przypuszczeń i domysłów, co tą moją książkę spowodować mogło — miłość moja do mych kosztownych snów posiada tą odwagę, o której Mickiewicz pisze, że nawet lwie serce Polaka i Francuza przed nią tchórzy: odwagę okrycia się śmiesznością.

I mam tą odwagę, że mógłbym być narażony na najprzykrzejsze inwektywy :

Gdym właśnie nauczył się czytać, w głęboką zadumę wprawiła mnie opowieść o jakimś jałmużniku, który wstąpił do bogatego pałacu i zbliżył się do stolika graczy z swoją skarbonką — a zbierał-ci on na dom sierot.

Jeden z graczy, któremu natręctwo jałmużnika popsuło karcianą kombinację, uderzył go w twarz. Pokłonił się głęboko święty jałmużnik i powiedział pokornie:

„To dla mnie, — a co dla moich dzieci?”

I stał się cud: zapalczywy gracz ochłonął, zdumiony tą świętą pokorą, i oddał mu całe wygrane złoto i całą wstawkę, którą zamierzał w dziesięćoraki sposób swoją wygranę powiększyć.

Cały mój twór jest w Poznańskim na indeksie, spoczywa „in pace”: nie mówi się o nim, jest wyklęty — nie istnieje:

Nic mnie to nie obchodzi, niech i nadal w tem najpiekielniejszem więzieniu, jakie średniowiecze dla człowieka wymyśliło, pozostanie i zgnije.

Ale tą moją książkę pragnę wybawić z tego „in pace” — poświęcam ją Tobie — młoda generacyo Wielkopolski — Tobie nowa „Młoda Polsko!”

Czuwaj nad nią i pomnij na ostatnie słowa, któremi zakończyłem mój poemat „Szlakiem Duszy Polskiej”:

„Jak długo nasze panowanie w Duchu istnieje, tak długo mamy więcej, aniżeli którykolwiek inny naród, wielkie i święte prawo, powiedzieć o sobie, że istniejemy — że istnieć będziemy mocą niedocieczonego prawa, które ustawicznie nową „Młodą Polskę” tworzy — mocą, która źródłom widzącej, żywej wiary, naszej polskiej wiary, wysychać nie pozwala”.

Po „Młodej Polsce” Kasprowiczów, Tetmajerów, Żeromskich, Reymontów, Przesmyckich, by tylko najwięcej Ci znanych wymienić, przysłaś Ty — nowa „Młoda Polsko” — niech Ci będzie danem wszystkie sny, wszystkie najpiękniejsze rojenia tej już „starej” generacyi w wielkim Czynie objawić:

„Aby żywej wierze i wiecznie młodej Myśli Polskiej końca nie było!”

*Monachium, Maj-Czerwiec 1917.*

